

Robert Papieski „Świnia Tyrmand”, czyli zamiast przypisu

14 marca 1967 roku, nim uściskał listownie na pożegnanie Szymona Piotrowskiego, Jarosław Iwaszkiewicz napisał w Paryżu z niehamowaną złością: „Świnia Tyrmand potwornie mnie osmarował w tutejszej «Kulturze», wszystkich zresztą, Kijowskiego między innymi”. Przytoczone zdanie jest tak głęboko zakorzenione w biografiach obu pisarzy, brzemienne jest w tyle znaczeń, że żaden przypis nie zdołałby sensu tego zdania udźwignąć – chyba że przyjąłby rozmiar artykułu.

Jak zapamiętał Leopold Tyrmand swój pierwszy kontakt z Iwaszkiewiczem? „Pamiętam Iwaszkiewicza, człowieka, który z finezji uczynił religię, a z sukcesu etykę, otwierającego w roku 1948 Kongres Pokoju we Wrocławiu – inaugurację najperfidniejszej «piątej kolumny», jaką znają dzieje. Polski pisarz esteta, intelektualista i artysta stosunkowo dobrze znany w świecie, firmował w tym momencie jedną z najcieńszych i najdoskonalej udanych afer politycznych w historii współczesnej”¹. Spójrzmy na kongres wrocławski chłodnym okiem, za co – jak się okaże – sam Tyrmand byłby nam wdzięczny.

Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju, który odbył się we Wrocławiu między 25 a 28 sierpnia 1948 roku, był pokłosiem powojennej międzynarodowej sytuacji politycznej, czyli zimnowojennego podziału świata na komunistyczny Wschód i kapitalistyczny Zachód. We wrześniu 1947 roku, podczas Narady Informacyjnej Dziewięciu Partii Komunistycznych i Robotniczych, państwa komunistyczne w sposób arbitralny nadały sobie miano „obrońców pokoju” i wysunęły chwytliwe tuż po wojnie hasło „walki o pokój”. W takiej propagandowej aurze zrodziła się idea zorganizowania we Wrocławiu Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju. W czyjej zrodziła się głowie? Nie w sowieckiej, jak sugeruje Tyrmand.

Francuska dziennikarka Dominique Desanti w książce *Les Staliniens* (1944–1956). *Une experience politique* (Paris 1975) jest zdania, że pomysłodawcą wrocławskiego zjazdu był ówczesny prezes Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” – Jerzy Borejsza. Rzecz jasna projekt musiała zaakceptować Moskwa, ale inicjatywa – zdaniem Desanti – była polska. Te przypuszczenia potwierdza także dokumentacja zawarta w zbiorze *Stalin i kosmopolitizm. Dokumenty Agitpropa CK KPSS 1945–1953* (Moskwa 2005), o czym przekonująco pisze Eryk Krasucki

¹ Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, wstęp i oprac. Henryk Dasko, Warszawa 1999, s. 205.

w książce *Międzynarodowy komunista. Jerzy Borejsza – biografia polityczna*. Organizując kongres wrocławski, Borejsza wzorował się na Międzynarodowym Kongresie Pisarzy w Obronie Kultury, który odbył się w Paryżu w czerwcu 1936 roku z udziałem m.in. Henriego Barbusse’a, André Gide’a, Thomasa Manna, Borisa Pasternaka. Toteż w Komitecie organizacyjnym zjazdu wrocławskiego znalazły się osoby, które prędkiej reprezentowały opcję lewicową aniżeli komunistyczną: Maurice Bedel, Julien Benda, Le Corbusier, Georges Duhamel, Irène i Frederic Joliot-Curie, Fernand Léger, Pablo Picasso (po stronie francuskiej), Kazimierz Ajdukiewicz, Maria Dąbrowska, Tadeusz Kotarbiński, Zofia Nałkowska, Jan Parandowski, Antoni Słonimski (po stronie polskiej). Kongres otworzyło przemówienie Iwaszkiewicza, po nim wystąpił Bedel. Oba referaty były utrzymane w tonie nieodbiegającym od standardów europejskich i były przedzielone fortepianowym wykonaniem *Zatopionej katedry* Debussy’ego i *Apassionaty* Beethovena. Miły nastrój zburzył trzeci mówca, przewodniczący delegacji radzieckiej Aleksandr Fadiejew, który André Malraux nazwał „chwalcą bomby atomowej”, Henry’ego Millera określił mianem „autora powieści pornograficznych”, egzystencjalizm Sartre’a odmalował jako „natchnienie duchowej demoralizacji, czyniącej z człowieka czworonoga”, a T.S. Eliotowi przypisał „sympatie profaszystowskie”. Borejsza był załamany, goście z Europy Zachodniej oburzeni, część z nich opuściła Wrocław. Kongres został uratowany dzięki temu, że Jakub Berman zadzwonił do radzieckiego ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa, który ostudził bojowy zapal Fadiejewa. A Fadiejew, który bał się tylko własnej matki i Stalina, bo obydwójce kochał, po śmierci generalissimuśa nie mógł się odnaleźć w nowej rzeczywistości politycznej: rozpił się, dręczyły go wyrzuty sumienia, a 13 maja 1956 roku sięgnął po rewolwer, by jednym strzałem uciąć pasmo udręk.

Ten powierzchowny i fragmentaryczny opis wrocławskiego kongresu ma głównie na celu zwrócenie uwagi czytelnika, jak wiele w gruncie rzeczy zależy od zachowań i decyzji poszczególnych ludzi, a jak dużo mniej od nakreślonych linii ideologicznych i programów partyjnych. Wie o tym każdy dobry pisarz, umiejący wnikać w istotę rzeczy, Tyrmand zdaje się tego nie wiedzieć, szermując ogólnikowym epitetem „najperfidniejszej «piątej kolumny», jaką znają dzieje” i „najdoskonalej udaną aferą polityczną w historii współczesnej”. Uznajmy na moment, że Tyrmand nie myli się w swojej ocenie i zadajmy pytanie: gdzie Tyrmand był między 25 a 28 sierpnia 1948 roku, gdy we Wrocławiu miały miejsce tak perfidne wydarzenia? Był we Wrocławiu. Czy był tam, by zapobiec perfidnym wydarzeniom, by je oprotestować? Nie, był tam, by pomóc się im rozgrywać jako dziennikarz tygodnika „Przekrój”. Odnosił na tym polu nawet duży sukces, przeprowadzając w dniach obrad wywiady z Irène Joliot-Curie, Bedelem, Ilją Erenburgiem, Julianem Huxleyem, Picassem, Vercorsem i Michaiłem Szołochowem. Zacytujmy rozmowę Tyrmanda z Szołochowem – wówczas deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR:

Z wielkim pisarzem Szołochowem spotkałem się przy barze w restauracji hotelu „Monopol”. Gdy zaczęliśmy rozmowę, nie wiem zupełnie dlaczego, spytałem ni w pięć, ni w dwanaście:

– Gdzie pan mieszka, panie Szołochow?

– Mieszkam w swojej stancy, nad Donem – odparł cichym głosem, bez chwili wahania i bynajmniej niezdziwiony. Ostatecznie jest to co najmniej dziwne pytać nieznajomych obcesowo o ich adresy. A on jakby nigdy nic. Tylko w ogromnym, jasnym błękitnie oczu zagrały mu iskierki dobrego humoru. Była to absolutna i konieczna przyczyna do wspólnej czarki wódki. Po tym Szołochow rzekł:

– Czy wie Pan, gdzie są najpiękniejsze na świecie konie? Pan jest z miasta. Otóż widzi pan, nie ma w świecie piękniejszych koni jak nad Donem. Mają cienkie pęciny i długie szyje, te dońskie, kozackie konie. Ja bardzo kocham konie. Niekiedy siedzę sobie w sitowia, nad rzeką, i obserwuję z ukrycia, jak na łąkach pasą się konie... To są piękne chwile...

Jasne, błękitne spojrzenie przebiło zadymioną ścianę eleganckiego baru, uciekło daleko, poza „Monopol” i Wrocław, hen, gdzieś na południowy wschód, nad Don, na stepy. Szołochow siedział na wysokim krzeselku skromny, cichy, zadumany, pełen wdzięku syn stepu, a to spojrzenie było samą liryką...¹.

„Był okres – wspomina Leopold Tyrmand – że Warszawa, a raczej «Warszawka», sądziła, że zostanę zięciem Iwaszkiewicza. Bawiło mnie to niepomierne. Lubilem wtedy Marysię Włodkową, córkę Jarosława, interesował mnie jej rzadki już dziś szlif życiowy panny z bardzo dobrego domu. Była akurat po rozwodzie, szukała pociechy po przejściach i tarapatach pierwszego małżeństwa. Ja byłem właśnie po rozstaniu z Rysią. Odetchnęliśmy po naszych przejściach przez paromiesięczną chwilę przy sobie”².

Ten okres to jesień 1951 roku. Maria Iwaszkiewicz rozwiodła się ze swoim pierwszym mężem Stanisławem Włodkiem 6 sierpnia 1951 roku. Drugą połowę sierpnia spędziła z matką w Ustce. Dzięki *Dziennikom* Zofii Nałkowskiej wiemy, że Tyrmand lato 1951 roku spędzał w Oborach. 23 lipca Nałkowska zanotowała: „Nowy – nieduży, czarny, dowcipny, wygadany – Tyrmand. [...] ciekawy i niemądry”³. A cztery dni później dodała: „Dowcip, inteligencja, nawet wdzięk. Doskonały egzemplarz złego gatunku”⁴. Tyrmand zaś w liście do Stefana Kisielewskiego z 17 sierpnia 1951 roku tak określał swój stan: „Przechodzę w tej chwili ogromny kryzys: nic mi się nie chce robić, ani pisać, ani czytać, ani uczyć się,

¹ Leopold Tyrmand, *Wywiady tylko dla „Przekroju”*, „Przekrój” 1948, nr 179 (12–18 września 1948).

² Leopold Tyrmand, *Dziennik* 1954, dz. cyt., s. 205.

³ Zofia Nałkowska, *Dzienniki 1945–1954*, cz. 2 (1949–1952), oprac., wstęp i komentarz Hanna Kirchner, Warszawa 2000, s. 295–296.

⁴ Tamże, s. 300.

ani awanturować się i dyskutować, co zawsze było w stanie mnie wyrwać z przejściowej stagnacji. A teraz tak mi jakoś wygodnie, chuj kładę na wszystko”¹.

Na początku września Maria Iwaszkiewicz wróciła do jednopokojowego mieszkania w alei Szucha 11. „Mieszka w moim pokoiku w Warszawie – pisał Iwaszkiewicz do córki Teresy 3 października 1951 roku – który odnowił jej Zieliński i pościagała sobie do niego niektóre meble, i urządziła podobno bardzo miło”². W pierwszej połowie września Maria poznała Tyrmanda, a około dwóch tygodni potem wyjechała z nim do Krakowa. W niepublikowanej rozmowie z Agnieszką Papieską Maria Iwaszkiewicz wspomina tę podróż: „Kiedyś wpadło mi do głowy, żeby pojechać do Krakowa. Po drodze zahaczyliśmy o Częstochowę. Strasznie mnie śmieszyło, że jedyny raz, kiedy byłam w Częstochowie na nabożeństwie, to dzięki Tyrmandowi, Żydowi. W Krakowie było całe towarzystwo z «Przekroju»: Janka Ipohorska, czyli Jan Kamyczek, Stefan Kisielewski, flirtujący z nią w tamtym czasie, Eile itd. W ogromnym mieszkaniu, które Janka wynajmowała w XIX-wiecznym domu, wódka lała się w nieprawdopodobnych ilościach. My z Tyrmandem mieszkaliśmy u sióstr zakonnych, które nie chciały nas razem zameldować, ale Tyrmand im wmówił, że właśnie wzięliśmy ślub”.

Wrócili z Krakowa między 10 a 15 października. „Pamiętam jak przez mgłę – mówi w tej samej rozmowie Maria Iwaszkiewicz – że zawiózł mnie kiedyś na Saską Kępę, gdzie mieszkał Jerzy Waldorff z Mieciem Jankowskim, był tam też Zygmunt Mycielski – z pełną świadomością, że wiezie mnie do gejów”. Ona zrewanżowała się Tyrmandowi zaproszeniem go na Stawisko w czasie, gdy nie było w domu Iwaszkiewicza, który nie lubił kandydatów na zięciów. Obydwa zdarzenia rozegrały się między połową października a połową listopada. To drugie 13 lub 14 listopada 1951 roku, gdyż 13 listopada o ósmej rano Iwaszkiewicz wyleciał do Pragi, by stamtąd przez Zurych i Niceę dostać się do Rzymu, skąd wrócił 29 listopada. Dzień przed odlotem jadł u Marii kolację, podczas której na pewno szczegółowo opowiedział córce o swoich planach podróżniczych, toteż Stawisko stało przed Tyrmandem otworem – o czym dobrze wiedziała Maria Iwaszkiewicz – przez dwa dni: 13 i 14 listopada. A dlaczego nie dłużej, skoro gospodarz domu miał wrócić 29 listopada?

Tyrmand wspomina: „Potem poznałem ją z moim przyjacielem, Jankiem Wołosiukiem, nie wiedząc, że kroję romans. Marycha wyszła za mąż za Janka”³. Potwierdza to Maria w przytaczanej już rozmowie: „Kiedyś [Tyrmand] zaprosił na swoje imieniny kolegów z YMKI. Przyjęcie odbywało się u jego znajomego, Jana Wołosiuka, w wynajętym mieszkaniu na Smolnej. Dość, że Wołosiuk mnie odprowadził – mieszkałam wtedy w mieszkaniu ojca na Szucha – i potem został moim drugim mężem. Tyrmand miał nam to za złe”. Imieniny Leopolda wypadają 15 listopada, zatem – jeśli ufać pamięci Marii Iwaszkiewicz – ten właśnie dzień 1951 roku stanowi granicę romansu Marii z Tyrmandem. Tegoż dnia Iwaszkiewicz

¹ Cyt. za: Marcel Woźniak, *Tyrmand. Pisarz o białych oczach*, Warszawa 2020, s. 183.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Listy do córek*, słowem wstępnym poprzedziły Maria Iwaszkiewicz i Teresa Markowska, oprac. Anna i Radosław Romaniukowie, Warszawa 2009, s. 323.

³ Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, dz. cyt., s. 205.

był w Rzymie i gdy jego córka bawiła się na imieninach Tyrmanda, on jadł obiad w eleganckiej restauracji na Piazza Navona, tej samej, w której gościł bodaj 20 maja 1948 roku z Borejszą, gdy z Eugenio Reale, ambasadorem Włoch w Warszawie, i Ambrogio Doninim, historykiem religii i dyplomatą – omawiali zorganizowanie wrocławskiego Kongresu Pokoju.

15 listopada wieczorem, gdy impreza imieninowa Tyrmanda trwała w najlepsze, autor *Brzeziny* słuchał odczytu Doniniego, poświęconego relacjom między Kościołem a państwem na Węgrzech. Choć wykład był ciekawy, Iwaszkiewicz nie umiał zapanować nad ziewaniem. W nocy, gdy Wołosiuk odprowadzał Marię ze Smolnej do alei Szucha, pisarz szykował się do snu w Biblioteca Polacca przy Vicolo Doria. Szli pustymi o tej porze alejami Ujazdowskimi; dwukilometry, półgodzinny spacer – tyle starczyło, by Tyrmanda zastąpił Jan Wołosiuk, w niedalekiej przyszłości sekretarz redakcji tygodnika „Przegląd Kulturalny”. A Iwaszkiewicz, gdy jego córka szła z Wołosiukiem obok najbardziej listopadowych miejsc polskich, pisał w dzienniku o Stawisku: „Z wielką czułością myślałem o tym starym domisku wtulonym w las, pogrążonym w mgłę i deszcz listopadowy, o tym osobliwym, do niczego niepodobnym życiu, jakie tam się toczy”¹. Czy to aby nie ten wieczór, nie ta noc stoją za niechęcią Tyrmanda do Iwaszkiewicza, gdy Tyrmand z kandydata na zięcia został zdegradowany do stopnia zięcia niedoszłego? Wołosiuk zostanie zięciem Iwaszkiewicza 20 września 1952 roku.

Wróciwszy do Polski 29 listopada 1951 roku, Iwaszkiewicz od razu wpadł w wir spraw domowych i zawodowych: kłopoty z przybranym synem Wiesławem Kępińskim, który od nauki w szkole wolał uganianie się za dziewczynami, ambaras z bólem zębów Marii, która przyszła na Stawisko ze spuchniętą twarzą, śmierć psa, który zdechł, bo zjadł kości z kury. 25 grudnia Maria przyprowadza na Stawisko Wołosiuka, przedstawiając go ojcu jako kolegę. Nazajutrz późnym wieczorem Iwaszkiewicz wyjeżdża do Zakopanego, żeby – jak zwierzył się młodszej córce w liście z 26 grudnia – napisać w dwa tygodnie przemówienia pokojowe, które już co prawda wygłosił, ale z głowy, improwizując. Prawdziwy powód był inny: pojechał w ślad za Wiesławem Kępińskim i jego starszym bratem Stanisławem. Ani w dzienniku, ani w kalendarzyku nie ma żadnej wzmianki o tym, że pisał – lub choćby miał zamiar pisać – mowy na cześć pokoju. Napisze je po powrocie z Tatr i wyda w 1952 roku w broszurze *Sprawa pokoju. Wiersze i przemówienia*.

Zamieszkał w domu literatów Astoria prowadzonym przez Marię Krasicką, która umiała sprawić, że w pensjonacie panowała miła atmosfera – prowadzono długie rozmowy, dużym powodzeniem cieszyły się gry towarzyskie i tenis stołowy. Traf chciał, że w Astorii bawił wtedy Leopold Tyrmand, który długie zakopiańskie godziny spędzał na grze w ping-ponga z czternastoletnim synem Ireny Krzywickiej, Andrzejem. „Lubiłem go – powiada Krzywicki – bo był bezpośredni, taki «młodzieżowy». Miłośnik jazzu, ubierał się trochę jak «bikiniarz»

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, oprac. i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy, wstęp Andrzej Gronczewski, Warszawa 2007, s. 327–328.

[...]. Tyrmanda nie traktowano w środowisku poważnie, był na wariackich papierach”¹.

„Pamiętam przed paru laty – wspomni ten czas Iwaszkiewicz w marcu 1956 roku w felietonie *Trędowata naszych czasów* – aby rozpędzić nudy zakopiańskiego domu literatów i przygniatającą atmosferę zakopiańskich niewygód – wykoncypowaliśmy we trójkę: Irena Krzywicka, Leopold Tyrmand i niżej podpisany zabawę polegającą na pisaniu powieści detektywistycznej, noszącej tytuł *Morderstwo kucharki*. W powieści mieliśmy wyobrazić wszystkich mieszkańców pensjonatu, powiązanych w ten czy w inny sposób z tajemniczą kucharką; każdemu z nich mogło zależeć na tym, aby się jej pozbyć, ale w końcu okazywało się, że kucharkę zabił ktoś rozzłoszczony na to, iż do siekanych kotletów dała za dużo cebuli. Niestety z powieści tej pozostały tylko trzy rozdziały – napisane przez każdego z nas. Na tym zabawa się skończyła. O ile – jak sobie pochlebiam – nie zrodził się z tego pomysł powieści detektywnej – *Zły Leopolda Tyrmanda*”². Za tymi pogodnymi zdaniem kryją się wydarzenia burzliwe.

Czytając kalendarzyki Iwaszkiewicza, stanowiące kronikę jego pobytu w Zakopanem, można odnieść wrażenie, że pisarz znalazł się w jakiejś dziwnej, koszmarniej rzeczywistości, przy której powieściowe morderstwo kucharki i towarzyszące mu okoliczności są sielanką. Już sam przyjazd przypomina początek horroru:

27 grudnia – przyjazd do Zakopanego, chłopców [Wiesia i Stasia Kępińskich] nie ma. Nieporozumienie z pociągiem. Rozmowa z Krzywicką! Okropny wieczór. Pogoda podła.

28 grudnia – cały dzień leje. Humory podłe. Żadnego urozmaicenia. Chłopcy w kinie.

29 grudnia – z rana spacer do Kuźnic. Chłopcy idą na Kondratową. Wracam do domu. Wizyta Wandzi³. Powrót chłopców. Radio. Odczyt u nauczycieli. Dancing. Nocny list. Powrót chłopców. „Pan nas obudzi o piątej”.

30 grudnia – wyjazd chłopców na Bukowinę, nie o piątej, ale o dziewiątej. Spalenie listu. Czytam detektywistyczne książki. Zgoda. Wizyta u Morstinów⁴.

31 grudnia – kwestia stolika. Telefon Wiesia. Zamówienie w Europejskiej. Samotny spacer do Białego. Pisanie powieści. Rozmowa popołudniowa. Nie-nawidzę... straszne! Przyjazd Wandzi z wujostwem. Kolacja. Czytanie powieści. Koszmar nocy sylwestrowej. Straszne! Straszne! Straszne!

W nowym roku nie jest lepiej:

¹ Andrzej Krzywicki, *Diabelski młyn*, Warszawa 2005, s. 53–54.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Trędowata naszych czasów*, „Życie Warszawy” 1956, nr 72 (25/26 marca).

³ Wanda Koczeska (1937–2008) – koleżanka Wiesława Kępińskiego z Państwowego Liceum Techniki Teatralnej (z tej samej klasy); w późniejszym czasie – aktorka filmowa i teatralna.

⁴ Ludwik Hieronim Morstin (1886–1966) – dramatopisarz, poeta, prozaik, tłumacz; i Janina Morstinowa z d. Żółtowska. Od 1945 do 1960 roku Morstinowie mieszkali w Zakopanem, w latach 1950–55 Morstin był kierownikiem literackim amatorskiego Teatru im. H. Modrzejewskiej w Zakopanem.

1 stycznia – rok zaczyna się od awantury. Koszmarne wspomnienie sylwestra. Cały dzień bardzo smutny.

2 stycznia – piękny dzień. Wyjazd Stasia. Wizyta u Eli¹. Nie zastaję. Czytam Brezom² *Ubogiego krewnego*³. Przerazające u W[iesława] jest myślenie tylko o kobietach. Z chłopcami w Astorii nie zamienił dwóch słów, podczas gdy natychmiast «przygadał» Marysię⁴ i Joasię Olczakównę⁵. Marysię chce «poślubić» i wybrał sobie dzień mojego wyjazdu do Rabki, aby to uczynić w Astorii. Boję się skandalu.

3 stycznia – z rana w mieście z Wiesławem. Wizyta u Eli w Muzeum. Kawa z [Adolfem] Rudnickim. Wiesio na dancingu z Marysią i Joasią. Rozmowa popołudniowa i sen. Bardzo dziwne. Wieczorem przy czytaniu «kryminału» potworne wrażenie dostania się w łapy gangsterów. Chłodniejsze rozważanie doprowadza do wniosku, że jest to gangsterstwo nieświadome. Potworne jest u Wiesława to, że jest *hanté*⁶ przez myśl o zbrodni. To się nie może dobrze skończyć. Pytanie o wojnę.

4 stycznia – 9.26 wyjazd do Rabki. Wizyta w Rabce. *Mon âme tourmenté*⁷. Wieczór na dancingu, „Tajemnica Joasi”. Czekam na Wiesława, rozmowa nocna z Tadeuszem Brezą.

5 stycznia – z rana zdobywam sleeping. Obiad. Rozmowa po obiedzie. Kawa w „Europie”. Rewelacje Wiesława (Bożenka, Gienia itd.). Kino z Joasią. Kolacja. Rozmowa z literatami w holu. Wyjazd. Muszę zdobyć się na przezwyciężenie wszelkich sentymentów, stać się chłodny i twardy. Ja? To zdaje się zupełnie niemożliwe i stąd męka.

Mimo to Iwaszkiewicz znajduje czas, by z Krzywicką i Tyrmandem pisać kryminał. W stawiskim archiwum zachował się jego fragment. Maszynopis liczy dziewięć stron formatu A4 i nie jest opatrzony żadną datą. W jego datowaniu pomocą służy treść utworu, z której wynika, że akcja zaczyna się 30 grudnia 1951 roku. Wbrew temu, co pisze Iwaszkiewicz, powieść nie nosi tytułu *Morderstwo kucharki*, lecz *Trzydzieści godzin. Powieść detektyw*⁸. Z jego listu do żony

¹ Helena Rytardowa, właśc. Roj-Kozłowska, Ela (1899–1955) – aktorka, reżyserka i dekoratorka pierwszego amatorskiego zespołu ludowego Podhala, który założyła w 1918 roku. Jej przyjaźń z Iwaszkiewiczem datuje się od ślubu z Jerzym Mieczysławem Rytardem, którą to uroczystość Iwaszkiewicz porównał w *Książce moich wspomnień* do bronowickiego wesela Lucjana Rydla. Od 1947 roku była zatrudniona w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, początkowo jako przewodnik, a następnie jako asystent w dziale etnograficznym.

² Zofia i Tadeusz Brezowie.

³ *Ubogi krewny* – tak zatytułował Iwaszkiewicz fragment swojego dziennika z 16 listopada 1951 roku, dotyczący rzymskiego spotkania z Arturem i Anielą Rubinsteinami.

⁴ Maria Jaworska – koleżanka Joanny Olczak-Ronikier.

⁵ Joanna Olczak-Ronikier (ur. 1934) – córka Hanny Mortkowicz-Olczakowej, wnuczka Jakuba Mortkowicza i Janiny Mortkowiczowej; pisarka, scenarzystka, współzałożycielka kabaretu „Piwnica pod Baranami”; autorka sztuki *Ja-Napoleon*, wystawionej w Teatrze Dramatycznym w Warszawie w 1968 roku, scenariusza widowiska teatralnego *Z biegiem lat, z biegiem dni...*, granego w Starym Teatrze w Krakowie w reżyserii Andrzeja Wajdy i zekranizowanego w 1980 roku dla potrzeb telewizji. Za książkę *W ogrodzie pamięci* (2001) otrzymała Nagrodę Literacką Nike. W latach 50. korespondowała z Wiesławem Kępińskim.

⁶ *Hanté* (fr.) – opanowany.

⁷ *Mon âme tourmenté* (fr.) – moja dusza udręczona.

⁸ Tekst *Trzydziestu godzin* został opublikowany w „Zeszytach Literackich” 2016, nr 134.

z 7 lutego 1952 roku wiadomo, że czytał kryminały zgromadzone w Astorii przez ministra spraw zagranicznych Zygmunta Modzelewskiego, „rozpaczliwie głupie i nudne”, jakie Iwaszkiewicz czytywał niegdyś w Elizawetgradzie w wieku trzy-nastu lat. Nazajutrz postanowił spróbować swoich sił w tym gatunku. Z fabuły *Trzydziestu godzin*, z nazwisk bohaterów widać, że pisanie kryminału stanowi-ło dla Iwaszkiewicza swoistą grę literacką, w obrębie której znalazły się postacie i elementy Zakopanego z ostatnich dni roku 1951, a ściślej mówiąc: z zakopiań-skiego pensjonatu Astoria, gdzie pisarz i jego wychowanek mieszkali w jednym ciasnym pokoju. Notesy Iwaszkiewicza świadczą o tym, że widywał się wówczas z Ireną Krzywicką, Tadeuszem Brezą i Adolfem Rudnickim, występującymi pod swoimi nazwiskami na kartach kryminału. Co prawda Krzywicka nosi w powie-ści imię Helena, ale pierwotnie stało w maszynopisie słowo „Irena”, które autor przekreślił i napisał odręcznie: „Helena”. Do literackiego kółka sportretowane-go w utworze należą ponadto Leopold Tyrmand, Janusz Minkiewicz i Seweryn Pollak; jest też niejaki Eleuter, pod którym to pseudonimem pisywał *Listy do Fe-licji* Iwaszkiewicz. Rzecz jasna – jak to u autora *Panien z Wilka* – prawda i fakty mieszają się z fikcją lub – by tak rzec – z porządkiem odwróconym: trzydziesto-jednoletni wtedy Tyrmand jest na kartach utworu „starszym zażywnym gościem, z szeroką siwą brodą”, zaangażowana w oświatę seksualną Krzywicka opisana jest jako osoba o poglądach purytańskich, jej syn Andrzej Krzywicki, w przy-szłości wybitny uczony, w powieści ma tępy wyraz oczu; Eleuter odznacza się zaś „niewielkim wzrostem”, co przy stu osiemdziesięciu sześciu centymetrach wzro-stu Iwaszkiewicza brzmi jak kpina z siebie samego. Znalazła się też okazja do żar-tów z genetycznych eksperymentów radzieckiego sadownika Iwana Miczuri-na, który poprzez krzyżowanie roślin wyhodował około trzystu odmian drzew i krzewów owocowych. Jeden z ulubionych dowcipów Iwaszkiewicza dotyczył właśnie tego wspaniałego innowatora: „Jak zginął Miczurin? Spadł z truskawki”.

Rzeczywiście, tak jak napisał Iwaszkiewicz, niedokończona powieść liczy trzy krótkie rozdziały i skoro każdy z nich został napisany przez kogoś innego, powsta-je pytanie: kto jest autorem poszczególnych części? Nie ulega wątpliwości, że pierwszy rozdział jest autorstwa Iwaszkiewicza. Nie ma tu miejsca na drobiazgo-wą analizę stylistyczną tekstu, zwrócę tylko uwagę na dwa nader Iwaszkiewiczow-skie elementy. Pierwszy to sposób zawiązania akcji. Zaczyna się od dialogu, któ-ry ani nie posuwa akcji do przodu przez opowiedzenie jakiegoś ciągu zdarzeń, ani nie służy konfrontacji poglądów lub idei, ale – jak zwykle u Iwaszkiewicza – cha-rakteryzuje bohaterów poprzez sposób wypowiedzi i poprzez dołączony do wy-powiedzi komentarz narratora. Poza tym dialog toczy się w ulubionej Iwaszkiewi-czowskiej scenerii – przy stole, a właściwie przy czterech stołach, podczas kolacji. Przypomnijmy sobie, ileż w prozie Iwaszkiewicza się je, rozmawiając przy tym, obserwując i oceniając innych, skrycie romansując, snując marzenia i wspomnie-nia. Ileż się je w *Sławie i chwale*, w *Pannach z Wilka*, w *Księżyc wschodzi*, w *Słońcu w kuchni*, w *Śniadaniu u Teodora*, w *Kongresie we Florencji*... Czy gdzieś się u Iwasz-kiewicza nie je? I jeszcze jeden szczegół, a ściśłe biorąc – jedno słówko, które „zdradza” Iwaszkiewicza: „paniulka” – przezwisko starej, zamordowanej kucharki.

W Stawisku tak wtedy nazywano Jadwigę Pogrozińską, domową nauczycielkę wnuków Iwaszkiewicza, której Iwaszkiewicz nie cierpiał. Tak jak nie lubił swojej kucharki Pawłowej, czyli Bronisławy Dudy, która potrafiła odmówić wydania jedzenia, gdy pisarza odwiedzili 21 lipca 1953 roku Jerzy Andrzejewski i Julian Strykowski. „Pawłowa była u nas w rodzinie przez lat trzydzieści – wspomina Maria Iwaszkiewicz. – Początkowo gotowała świetnie, później, na starość, nie chciała za nic pewnych potraw przyrządzać. Niezbitym argumentem było: «nie bedom jedli», i choć błagaliśmy i przekonywaliśmy, że właśnie będziemy jedli, nic nie pomagało”¹. Iwaszkiewicz umilił więc sobie sylwestra 1951 roku, uśmiercając postać literacką noszącą cechy dwu nielubianych przez niego kobiet.

Drugi rozdział *Trzydziestu godzin* powstał bez wątpienia pod piórem Tyrmanda. Jego bohaterem jest Janusz Minkiewicz, wtenczas dobry znajomy autora *Złego*, wystylizowany na bohatera kryminałów Raymonda Chandlera. A Chandler to obok Hemingwaya i Faulknera ulubiony pisarz amerykański Tyrmanda. Za autorstwem Tyrmanda przemawia też znakomita orientacja w modnych przebojach muzyki popularnej i w mikroświatku bazaru Różyckiego. I styl tego rozdziału jest Tyrmandowski: zwięzły, szorstki, sprężysty jak puls jazzu, ciężący ku fanfaronadzie.

Skoro dwa pierwsze rozdziały napisali Iwaszkiewicz i Tyrmand, trzeci wyszedł spod ręki Ireny Krzywickiej – i niech to proste a słuszne wnioskowanie oszczędzi nam długiego wywodu, na który nie ma tu miejsca.

Mimo że powieść pozostała niedokończona, jej pierwszych kilka stron budzi ciekawość, kto zabił w afekcie starą kucharkę. Wyjaśnienie tej zagadki przynosi – jak przypuszczam – baczna lektura cytowanych kalendarzyków Iwaszkiewicza, świadczących, że współpisanie *Trzydziestu godzin* stanowiło dla niego nie tylko okazję do gry literackiej, lecz było zarazem próbą – na polu magiczną – przetworzenia rzeczywistości, podporządkowania jej sobie, było swoistym odpędzaniem demonów, zwłaszcza tych kręcących się przy Wiesiu Kępińskim. Z dzisiejszej perspektywy widać, że Iwaszkiewicz demonizował młody męski wigor, przeceniał znaczenie buty wyrażanej w słowach i tylko w słowach zamkniętej. Skończyło się bowiem zaledwie zabiciem starej kucharki na kartach niedokończonej powieści. Skoro tak, jeśli ten tok rozumowania jest słuszny, to powieściowym zabójcą jest postać wzorowana na Wiesławie Kępińskim czy choćby częściowo wyposażona w jego cechy. Jest ktoś taki, zgodnie z regułami gatunku nienarzucający się uwadze czytelnika: wychowanek państwa Brezów, wysoki, szczupły, niepozorny i bardzo cichy młodzieniec o imieniu Seweryn.

Nie upieram się jednak przy takim rozstrzygnięciu zagadki kryminalnej. Jeszcze 1 lipca 2016 roku Maria Iwaszkiewicz w rozmowie z Agnieszką Papieską twar- do obstawała przy tym, że jej ojciec zamierzał uczynić mordercą Tyrmanda, który ponoć szczególną wrażliwość przejawiał na punkcie źle przyrządzonych sosów. Czy nie do tego czyni aluzję Iwaszkiewicz w omówieniu *Złego*, pisząc w marcu 1956 roku: „Rozmowy Marty z Halskim – to zaprawdę karykatura. I ma

¹ Maria Iwaszkiewicz, *Z moim ojcem o jedzeniu*, Kraków 1980, s. 44–47.

się ochotę zamordować Tyrmanda, jak ową kucharkę, za zbytnią ilość słodkawej, cikliwej cebulki włożonej do tego pasztetu”¹.

Z recenzji *Złego*, który ukazał się drukiem w grudniu 1955, przytoczyłem dwa akapity: pierwszy i ostatni, ponieważ Iwaszkiewicz skonstruował swój felieton na zasadzie klamry, motywu, który – pojawiając się na początku i na końcu artykułu – spina niczym klamra cały tekst. A należy także przypomnieć, co mieści się pomiędzy skrajnymi akapitami, gdyż ów środek bywał źródłem nieporozumień. Otóż tekst Iwaszkiewicza wspiera się na dwóch konstatacjach: po pierwsze, *Zły* jest świetną powieścią w swoim gatunku, czyli w ramach literatury popularnej; po drugie, błędą ci recenzenci, którzy stawiają utwór Tyrmanda „w rzędzie książek monumentalnych, wstrząsających sumieniem... i patriotycznych”. Szczególny żal żywi Iwaszkiewicz do Jana Strzeleckiego, który zaprzął swój nieprzeciętny talent do udowadniania, iż kryminał Tyrmanda godzien jest stanąć obok największych osiągnięć polskiej literatury, podczas gdy autor recenzji stawia *Złego* obok *Trędowatej* Heleny Mniszek.

Ciekawa w tym kontekście wydaje się opinia Marii Iwaszkiewicz, która w cytowanej już parokrotnie rozmowie orzekła: „Dobrze go wspominam, ale nie uważam za dobrego pisarza. Przecież *Złego* Zula Balińska, redaktorka z *Czytelnika*, skróciła w drugim wydaniu o sto stron. Nie podobala mi się ta powieść, a przecież lubię takie książki, niby kryminały”.

W 1957 roku Tyrmand ogłosił tom opowiadań *Gorzki smak czekolady Lucullus* oraz szkice muzyczne *U brzegów jazzu*, cztery lata później wydał powieść *Filip*. Była to ostatnia książka, jaką udało mu się opublikować w Polsce przed wyjazdem na Zachód. W 1964 roku warszawski tygodnik „Kultura” wydrukował fragment powieści politycznej *Życie towarzyskie i uczuciowe*, zatytułowany *Salon pani Stoll* – tekst będący pamfletem na popularny w latach pięćdziesiątych w Warszawie salon literacki Ireny Krzywickiej. 15 marca 1965 roku Tyrmand wyjechał do Francji, po czym przez kilka miesięcy podróżował po Europie. W styczniu 1966 roku przyleciał do USA, by skorzystać ze stypendium Departamentu Stanu; w kwietniu osiadł w Nowym Jorku. Zrzekł się obywatelstwa polskiego, nawiązał współpracę z paryską „Kulturą”. Na jej łamach zadebiutował w marcu 1967 roku trzydziestosiedmiostronicowym tekstem *Porachunki osobiste*. To ten artykuł tak rozeźlił Iwaszkiewicza, iż nazwał Tyrmanda świnia.

Już w pierwszym akapicie Tyrmand deklaruje:

W drugiej części życia postanowiłem zająć się więcej ideami niż ludźmi. Dotąd postępowałem odwrotnie i nie przyniosło mi to niczego poza przekonaniem o wszechobecnej niesprawiedliwości. Spotykałem w końcu ogromne ilości ludzi w życiu, w większości jednak okazywali się po jakimś czasie nie tacy, jak należy².

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Trędowata naszych czasów*, dz. cyt.

² Leopold Tyrmand, *Porachunki osobiste*, „Kultura” 1967, nr 3.

Jednak górę wziął nawyk i Tyrmand znowu zajął się ludźmi, idee odsuwając na bok, co dobrze ilustruje tytuł artykułu, bo to są porachunki osobiste autora z różnymi ludźmi, nie z ideami, nawet nie z ideą komunizmu. Natomiast znaczną część artykułu stanowi nudny opis perypetii Tyrmanda, usiłującego zdobyć w PRL paszport.

W przytoczonym fragmencie widać jak w soczewce dwie główne cechy autora *Złego*: infantylizm i egotyzm, oczekiwanie po życiu i ludziach sprawiedliwości jest bowiem postawą prostoduszną, zwłaszcza gdy sprawiedliwość rozumie się tak: „sprawiedliwe jest wszystko, co dogadza mojej wygodzie”. Tyrmand oskarża wiele osób, tekst to długa skarga jedynego sprawiedliwego.

Pośród oskarżonych o różne świństwa są – prócz Iwaszkiewicza – Jerzy Putrament, Jan Kott, Andrzej Kijowski, Jan Maria Gisges, Jerzy Toeplitz, Aleksander Ford. O Fordzie Tyrmand pisze: „Jago z Łodzi, nikczemny intrygant, zawdzięcza swe «sukcesy» bezbłędnie koniunkturalnej tematyce swych filmów, zaś swą pozycję – machinacjom, denuncjatorstwu, patologicznemu niszczeniu młodszych i zdolniejszych”. Żadnych przykładów lub dowodów, sama potwarz.

Jak zareagowało środowisko literackie na *Porachunki osobiste*? Rozmaicie. Po krótko informował o tym Tyrmanda Jerzy Giedroyc w liście z 9 marca 1967 roku:

A więc bomba eksplodowała. Reakcje: Czapski zachwycony, Woźniakowski [Jacek] również [...]. Miłosz artykuł b. atakuje, stwierdzając zresztą, że go nie czytał. Podobno Pan go skompromitował nieprzyzwoitym zachowaniem się, gdy Pana w Berkeley zaprowadził do jakiegoś dygnitarza, gdzie Pan w rozmowie chwalił USA, a krytykował PRL [...]. Andrzejewski czytał. Nie podobało mu się¹.

Z kolei Sławomir Mrozek w liście do Tyrmanda z 31 marca 1967 roku orzeka:

Rzecz napisana jest bardzo żywo, ujawnia Twoje zalety, jak ogromna bystrość bezpośredniej obserwacji, „oglądu”, rodzajowej, obyczajowej charakterystyki skrótem, a także nutę epicką, bo uważam, że jesteś jednym z niewielu dzisiaj, którzy mają powołanie epickie. Ujawnia także jakąś świeżość, rzadką dziś żywość odbioru i reakcji, ujawnia człowieka sympatycznego, który nie lubi i nie może; jest w tym coś bardzo osobistego, lirycznego nawet, co zdecydowanie odróżnia rzecz od innych rzeczy w tym rodzaju, najczęściej opakowanych w bardziej ogólne, a kryjących się z osobistym. Obciąża ją w dół pośpiech, natłoczenie, pogoń rzeczy do wyrażenia, nieczystość języka czasami, czasem zbyt przegimnastykowane figury stylistyczne czy wyobraźniowe, to wszystko zrozumiałe, chciałeś, chciało Cię [*sic!*], wyrazić za dużo naraz, nareszcie, rodzaj małej eksplozji, która nigdy – jako eksplozja, z natury rzeczy nie może być precyzją².

¹ Cyt. za: Sławomir Mrozek, Leopold Tyrmand, *W emigracyjnym labiryncie. Listy 1965–1982*, wstęp i oprac. Dariusz Pachocki, posłowie Tadeusz Nyczek, Kraków 2017, s. 75.

² Tamże, s. 77.

Najcelniej ocenił tekst Tyrmanda Zygmunt Mycielski:

Słabością tego artykułu jest jego nienawistny ton do wszystkiego i wszystkich. [...] W Polsce się ludzi wykańcza, to prawda. A jednocześnie jest prawdą, że tak zwane prawdziwe pisarstwo, ważne, które się liczy, nie polega na nienawiści. Artykuł Tyrmanda jest słaby, bo sprawia wrażenie, że on się odgrywa, mści na pewnej, na dużej ilości osób. Kott, Zatorska, Iwaszkiewicz, minister Wi-cha, wszyscy pel-mel, byle usprawiedliwić, że wyjechałem, byle wytłumaczyć, dlaczego¹.

Jednak nikt z piszących o artykule Tyrmanda nie zadał pytania, czy autor pisze prawdę. Sprawdźmy to na przykładzie Iwaszkiewicza. Tyrmand informuje:

Przed Październikiem paszporty na Zachód otrzymywali w Polsce: a/ ludzie godni zaufania, a więc: wysocy urzędnicy, karierowicze z dyplomacji i handlu zagranicznego o wypróbowanej wierności (?), różna zawiesina partyjna i bezpartyjna na usługach tzw. cyrku Stalina, który załatwiał zjazdy intelektualistów, kongresy pokoju itp., PAXowcy, marynarze, ubiacy do pilnowania ich wszystkich oraz Jarosław Iwaszkiewicz i Jan Kott².

To prawda, ale równie dobrze można by o tym napisać tak: „ludzie godni zaufania, a więc: Maria Dąbrowska, Julia Hartwig, Barbara Hesse-Bukowska, Tadeusz Konwicki, Witold Lutosławski, Czesław Miłosz, Zofia Nałkowska, Andrzej Panufnik, Julian Strykowski oraz Jarosław Iwaszkiewicz i Jan Kott”. Drugi szereg też jest prawdziwy, ale nie sposób, umieściwszy w nim Iwaszkiewicza – rzucić na Iwaszkiewicza złe światło. Poza tym – jak zobaczymy – kategoria „człowiek godny zaufania [komunistów]” niekoniecznie pasuje jak ulał do Iwaszkiewicza.

Kilkanaście stron dalej Leopold Tyrmand pisze: „Nigdy za nim nie przepadałem i gwoili sprawiedliwości rzec muszę, że i on nie znosił mnie, czemu dał wyraz w znanym felietonie o *Złym*, gdzie zmieszał mnie z błotem subtelnie i skutecznie”. Znany felieton to wspomniany już tekst *Trędowata naszych czasów*, w którym niepodobna dopatrzeć się mieszania z błotem autora *Złego*. Powtarzam: Iwaszkiewicz główny zarzut kieruje w stronę recenzentów, którzy, nie znając miary w pochwałach, umieszczają powieść Tyrmanda pośród największych dzieł literackich, podczas gdy dla Iwaszkiewicza *Zły* – podobnie jak *Trędowata* – jest znakomitym utworem w ramach literatury popularnej. Poza tym dziwi się Iwaszkiewicz tym, którzy w powieści Tyrmanda widzą prawdziwy obraz Warszawy. „Któż z bywalców Bristolu czy Rarytasu – uzasadnia swój sąd autor *Brzezi-ny* – pozna w czarodziejskich pałacach, odmalowanych przez autora *Złego*, nasze bardzo ponure knajpy, zimne, pustawe, w których bardzo źle i niechętnie żywią człowieka?”³. Warszawa – zdaniem Iwaszkiewicza – jest przez Tyrmanda

¹ Zygmunt Mycielski, *Dziennik 1960–1969*, Warszawa 2001, s. 487.

² Leopold Tyrmand, *Porachunki osobiste*, dz. cyt.

³ Jarosław Iwaszkiewicz, *Trędowata naszych czasów*, dz. cyt.

heroizowana i upiększana, albowiem w rzeczywistości jest bardziej szara i smutna. I to tyle złego sądu Iwaszkiewicza o *Złym*.

„Zawsze wyobrażałem sobie – przypuszcza kolejny atak Tyrmand – że jak tylko Ruscy przewalili się przez Mazowsze, pan Jarosław nałożył swój czerwony fez, usiadł przy oknie i zamyślił się głęboko, jak by tu uratować posiadłość w Stawiskach (dar przedwojennych plutokratów w zamian za bliski im ideologicznie estetyzm) w obliczu wywłaszczeń i rewolucyjnych gwałtów. Za to, co wymyślił, otrzymał w 10 lat później order Odrodzenia Polski i najmiłsze zaszczyty, jakie tylko komuniści mogą pisarzowi ofiarować, i to w sposób tak dystyngowany, że można by się jeszcze poupierać przy tzw. niezależności sumienia, wierności ideałom i Muzom. Pamiętam, jak otwierał kongres intelektualistów we Wrocławiu, w 1948 roku: już wtedy wiadome było, że impreza ta śmierdzi, ale Iwaszkiewicz zniósł zapach z post-szlachecką nonszalancją i tak już poleciał”¹.

O kongresie wrocławskim i udziale w nim Tyrmanda była już mowa, teraz skupmy się na Ruskich, Stawisku i polskiej plutokracji. Zaczniemy – zgodnie z chronologią – od Stawiska (nie Stawisk, jak błędnie pisze Tyrmand) – w mniemaniu Tyrmanda daru przedwojennych plutokratów w zamian za bliski im ideologicznie estetyzm Iwaszkiewicza. Nazwy „Stawisko” użyto oficjalnie po raz pierwszy 31 października 1925 roku w dokumencie, w którym Stanisław Wilhelm Lilpop, teść Iwaszkiewicza, zwrócił się do Urzędu Gminy Helenów (z siedzibą władz w Brwinowie) z prośbą o wydanie pozwolenia na zbudowanie domu mieszkalnego i budynków gospodarczych na terenie majątku Podkowa Leśna. 5 listopada 1926 roku był już gotowy projekt domu autorstwa architekta Stanisława Gądzikiewicza. Przeprowadzka na Stawisko nastąpiła w październiku 1928 roku. Najpierw wprowadzili się do domu Lilpop ze swoją siostrą Anielą Pilawitzową i kuzynką Marią Miaskowską. Po nich przyjechała na Stawisko z Arcachon Anna, a jako ostatni przekroczył próg domu Jarosław, który wcześniej wojażował po Europie i brał udział w obradach kongresu Unii Intelektualnej w Pradze. Zatem nie anonimowa finansjera sprawująca władzę podarowała poecie Stawisko, lecz zbudował je dla całej rodziny bogaty Lilpop i nie zrobił tego w zamian za bliski mu ideologicznie estetyzm zięcia. Stawisko stanowiło osobliwe połączenie domu mieszczańskiego, reprezentowanego przez rodzinę Lilpopów, oraz domu artystycznego, uosabianego przez obydwójce Iwaszkiewiczów.

Gdyby nawet Iwaszkiewicz chciał na widok Ruskich założyć czerwony fez, nie mógłby tego zrobić, ponieważ kolekcja nakryć głowy, którą odziedziczył po teściu, fezu nie zawiera. Zapewne Tyrmand, będąc na Stawisku w listopadzie 1951 roku, widział tę kolekcję, pomylił jednak fez z tiubietijką, inaczej krymką. Lecz nie czepiajmy się szczegółów i sprawdźmy, jak ratował przed Armią Czerwoną Stawisko Iwaszkiewicz z krymką na głowie. Pisarz mówi o tym Robertowi Jarockiemu na łamach „Literatury” z 15 lutego 1979 roku, ja zaś korzystam z wyciągu tej rozmowy, zrobionego przez Jana Marię Gisgesa:

¹ Leopold Tyrmand, *Porachunki osobiste*, dz. cyt.

O wejściu Rosjan do Brwinowa dowiedziałem się od naszego woźnicy Jesionka, ale do nas, do Stawiska, nie dotarli. Dopiero po kilku dniach przyszło dwóch czerwonoarmiejców. Zadzwonili, bo dzwonek jeszcze działał, i mój brat, Bolesław, im otworzył. Stanęli nieśmiało w drzwiach, pytając:

– *Tut pisatiel žiwiot?*¹

Kiedy brat potwierdził, powiedzieli:

– *My chatieli gabinet pisatiela posmatrić!*²

– *No, pożałujsta, pajditie*³ – brat mówił dobrze po rosyjsku i zaprowadził ich po schodach do mego gabinetu, gdzie wszystko właściwie, z wyjątkiem paru przedmiotów, wyglądało tak jak dziś. Weszli, zdjęli czapki, rozejrzeli się dookoła, popatrzyli i bardzo grzecznie powiedzieli:

– *Spasiba, żelajem szczastia!*⁴ – I wyszli.

Ale mniej zabawna była historia zakwaterowania się w Stawisku podejrzliwego i pewnego siebie oficera NKWD, który przyczepił się do brata Jarosławowego, nie wierząc, że to jest rzeczywiście brat, przypuszczając, że to ktoś tajemniczy, a najpewniej szpieg. Nie pomagały fotografie rodzinne, dowody, dokumenty, a rodzina Iwaszkiewiczów tylko czekała godziny, kiedy Bolesław zostanie aresztowany. Upłynęło kilka miesięcy i oficer został odwołany. Żegnał się ze wszystkimi nawet serdecznie, a ściskając dłoń Iwaszkiewicza, nawet powiedział:

– *Jarosław, tolko nie dumajcie, szto ja powieril, szto Bolesław wasz brat...*^{5,6}

Z Iwaszkiewiczem i Ruskimi w ogóle nie jest taka prosta sprawa, jak myśli Tyrmand. Sporo światła rzuca na tę kwestię artykuł Tamary Agapki *Rosyjskie kontakty Jarosława Iwaszkiewicza w latach 1945–1959*, oparty na materiałach radzieckich archiwów. Wynika z nich, że po raz pierwszy pomyślano o zaproszeniu Iwaszkiewicza do Związku Radzieckiego w styczniu 1946 roku – z inicjatywy ambasadora ZSRR w Warszawie Wiktora Lebiediewa. By lepiej „poznać” Iwaszkiewicza, w kwietniu 1946 roku wysłano do Polski Fiodora Panfiorowa, redaktora odpowiedzialnego miesięcznika „Oktiabr”. O swoich wrażeniach z pobytu w Polsce Panfiorow napisał w raporcie z 19 kwietnia 1946 roku, skierowanym do sekretarza KC WKP(b) Michaiła Susłowa. Panfiorow informował o spotkaniu z Iwaszkiewiczem w Warszawie, na przyjęciu w domu Natalii Modzelewskiej, żony Zygmunta Modzelewskiego, ministra spraw zagranicznych. Oprócz Iwaszkiewicza u Modzelewskiej byli m.in. Leon Kruczkowski, Flora Bieńkowska i Seweryn Pollak. „Tutaj, raportował Panfiorow, «czuło się pewne uprzedzenie. Nawet nasi szczerzy przyjaciele skłaniają się ku Zachodowi (Francja), a jeśli chodzi o pisarzy radzieckich – ku Borisowi Pasternakowi»”⁷.

¹ Czy tutaj mieszka pisarz?

² Chcieliśmy zobaczyć gabinet pisarza.

³ Proszę wejść.

⁴ Dziękujemy, życzymy szczęścia.

⁵ Jarosław, tylko nie myśl, że ja uwierzyłem, że Bolesław to twój brat.

⁶ Jan Maria Gisges, *A po człowieku dzwoni dzwon*, Rzeszów 1985, s. 137–138.

⁷ Tamara Agapkina, *Rosyjskie kontakty Jarosława Iwaszkiewicza w latach 1945–1959 (na podstawie materiałów z archiwów)*, przeł. Robert Papieski, „Strony” 2011, nr 2.

Iwaszkiewicz przyleciał do Moskwy 2 lipca 1946 roku na zaproszenie Związku Pisarzy Radzieckich. Była to jego pierwsza wizyta w stolicy Rosji. Jej celem było zaznajomienie się z działalnością moskiewskich teatrów oraz nawiązanie kontaktów z dramaturgami i reżyserami, co miało wpłynąć na zacieśnienie współpracy między Polską a Związkiem Radzieckim w dziedzinie sztuki scenicznej. Choć wizyta w Moskwie zaowocowała pojawieniem się planów wydania utworów wybranych Iwaszkiewicza i wystawienia *Lata w Nohant*, to nie było im dane się ziszczyć. W latach czterdziestych XX wieku po rosyjsku wyszły *Z barykady w dolinę głodu* Michała Rusinka, *Rzeczywistość* Jerzego Putramenta i *Miasto niepokonane* Kazimierza Brandysa. Ciszę, jaka zapadła wokół Iwaszkiewicza, przerwało moskiewskie Państwowe Wydawnictwo Muzyczne, które w 1949 roku wydało książkę biograficzną *Chopin*. Okazją po temu było stulecie urodzin kompozytora.

Trudności w „przenikaniu” twórczości Iwaszkiewicza do ówczesnej kultury rosyjskiej można wyjaśnić szeregiem przyczyn. Wątpliwe, czy pisarz, będąc w Moskwie w 1946 roku, pozostał obojętnym wobec faktu, że literatura polska okresu międzywojennego była tak słabo i wybiórczo reprezentowana w języku rosyjskim, wszak w latach 30. w Związku Radzieckim była obecna w zasadzie jedynie polska „literatura proletariacka”. Nie jest wykluczone, że Iwaszkiewicz interesował się losami polskich pisarzy proletariackich, którzy wyemigrowali do ZSRR, a potem byli represjonowani. Interesowali się tym także inni polscy pisarze podczas spotkań z Panfiorowem czy Tichonowem. Prawdopodobne zwrócenie uwagi Iwaszkiewicza na te zagadnienia nie mogło być, mówiąc delikatnie, życzliwie przyjęte przez prominentnych działaczy komunistycznych. Nie sprzyjało propagowaniu twórczości pisarza także jego „niepewne” urzędowanie na stołku prezesa Związku Literatów Polskich: zastąpienie go na tym stanowisku przez Leona Kruczkowskiego niewątpliwie zostało w Moskwie zauważone. Przede wszystkim jednak tamten czas w ogóle nie sprzyjał propagowaniu utworów Iwaszkiewicza w Związku Radzieckim, zresztą nie tylko jego utworów i nie tylko polskich pisarzy¹.

13 grudnia 1954 roku Iwaszkiewicz przyjechał do Moskwy po raz drugi, tym razem jako członek polskiej delegacji na II Wszechzwiązkowy Zjazd Pisarzy Radzieckich. Szczególnie intensywny był dla Iwaszkiewicza dzień 24 grudnia. Podczas obrad zjazdu autor *Pasji błędmierskich* wygłosił przemówienie, w którym krytycznie odniósł się do referatu Nikołaja Tichonowa. Wypowiedź Iwaszkiewicza została opublikowana w „Litieraturnoj Gazietie” 6 stycznia 1955 roku, w polskim tłumaczeniu ogłosiła ją „Nowa Kultura”. Czytamy tam m.in.:

Muszę zauważyć, iż większość utworów współczesnej literatury polskiej, o których była mowa w referacie, jest nieznana czytelnikowi radzieckiemu. Książki Kazimierza Brandysa, Lucjana Rudnickiego, Bohdana Czeszki nie zostały

¹ Tamże.

dotychczas przetłumaczone, nie mówiąc już o utworach innych autorów, niewspomnianych w referacie, takich jak Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska, Mieczysław Jastrun i wielu, wielu innych. Tłumaczy się natomiast książki, których poziom artystyczny nie może dać czytelnikowi radzieckiemu właściwego wyobrażenia o naszej literaturze. I jeszcze jedno. Rozumiem, że Tichonow mówił o literaturze współczesnej. Ale mimo to mnie osobiście zabrakło w referacie tow. Tichonowa kilku słów, dosłownie jednego zdania o rodowodzie polskiej literatury postępowej. Z referatu Mikołaja Tichonowa można by wysnuć wniosek, że zarówno sama literatura polska, jak i przyjaźń pisarzy rosyjskich z polskimi datuje się od roku 1945, w każdym razie nie wcześniej. A przecież przyjaźń ta ma dawne i sławne tradycje: Piotr Moszyński był przyjacielem dekabrystów, Stanisław Worcell przyjacielem Hercena, a Mickiewicz – Puszkina. Wszak mówi o czymś fakt, że Maksym Gorki, przyjaźniący się z Żeromskim, dał świetną i trafną ocenę charakteru jego twórczości. Wszak mówi o czymś to, że Lew Tolstoj w swym *Zmartwychwstaniu* pokazał piękne i szlachetne postaci polskich rewolucjonistów, którzy ginęli „za waszą i naszą wolność”¹.

Przysłuchujący się temu przemówieniu Tadeusz Drewnowski skomentował je w sposób następujący: „Podczas zjazdu zaimponował mi [Iwaszkiewicz] po wtórnie, gdy ze swobodą, dyplomacją i stanowczością przemówił po referacie M. Tichonowa”². Wystąpienie Iwaszkiewicza było śmiałe – zważywszy na miejsce i czas – z dwóch powodów. Po pierwsze, oponent Tichonowa przyznał sobie prawo do krytycznej oceny radzieckiej polityki wydawniczej. Po drugie, przyjazne relacje między pisarzami polskimi i rosyjskimi wywodził nie od roku 1945, ale od pierwszych dziesięcioleci XIX wieku, niwecząc tym samym propagandowe zabiegi radzieckich ideologów. Poza tym żaden z wymienionych przez Iwaszkiewicza Polaków nie był rusofilem, przeciwnie, każdy z nich zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie wynika dla Polski z sąsiedztwa Rosji.

Również 24 grudnia, wieczorem, na przyjęciu u rektora Uniwersytetu Moskiewskiego Ilji Gałkina, wydanym na cześć pisarzy z krajów słowiańskich, polski pisarz mówił o zmarłej 17 grudnia Zofii Nałkowskiej. Początek tego przemówienia znajduje się w notatniku, który Iwaszkiewicz dostał jako uczestnik zjazdu:

Jeden ze sławnych angielskich pisarzy powiada: „człowiek nigdy nie jest wyspą, zawsze jest częścią lądu. Wszyscy ludzie należą do niego i jeżeli ktoś umiera, to umiera częśćka ich też”. Tym bardziej – kiedy umiera wielki pisarz – umiera jakaś częśćka naszego ja, ponosimy stratę nie na zewnątrz, gdzieś tam – ale jak gdyby w nas samych. Cała część świata naszego wewnętrznego związana z tym pisarzem zapada się w niebyt, tracimy kawałek samego siebie – i dusza nasza „pełna sromu do ciaśniejszego przenosi się domu”. Z twórczością Zofii

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *W imię naszej serdecznej przyjaźni*, „Nowa Kultura” 1955, nr 2.

² Tadeusz Drewnowski, *Tyle hałasu – o nic?*, Warszawa 1982, s. 159.

Nałkowskiej związane były przez długie lata nasze przeżycia artystyczne i literackie o wielkiej głębi i ogromnej różnorodności¹.

Przywołany przez Iwaszkiewicza cytat z *Medytacji* XVII Johna Donne'a, wchodzącej w skład *Devotions Upon Emergent Occasions*, nie jest dokładny, w przekładzie Bronisława Zielińskiego brzmi: „Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą; każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu. Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi, Europa będzie pomniejszona, tak samo jak gdyby pochłonęło przyładek, włos twoich przyjaciół czy twoją własną. Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością”. Nie jest rzeczą przypadku przemilczenie przez Iwaszkiewicza nazwiska autora tych słów. W czasie, gdy wielkim sukcesem destalinizacji radzieckiego życia literackiego było wystawienie *Hamleta* Szekspira, powoływanie się na angielskiego poetę i kaznodzieję, czołowego przedstawiciela barokowej poezji metafizycznej, byłoby pójściem o krok za daleko. Należy zauważyć, że przemilczenie ma w tym wypadku charakter podwójny, zacytowany przez polskiego pisarza fragment stanowi bowiem zarazem motto powieści *Komu bije dzwon* Ernesta Hemingwaya. Na tę powieść, w której pod postacią Karkowa został sportretowany rozstrzelany w 1940 roku podczas czystek Michaił Kolcow, Moskwa nie była jeszcze gotowa. Mamy tu do czynienia z dość częstą u Iwaszkiewicza strategią postępowania: stosowanie języka ezopowego tam, gdzie nie można mówić otwartym tekstem; omijanie cenzury erudycyjnymi nawiązaniem i aluzjami, zrozumiałymi dla odczytanych i wtajemniczonych. Bez wątpienia było rodzajem prowokacji, może nawet swoistej perwersji estetycznej, przemawianie w roku 1954 w auli Uniwersytetu Moskiewskiego słowami Johna Donne'a i – pośrednio – Ernesta Hemingwaya.

Tego typu erudycyjną grę z cenzorem i czytelnikiem podejmuje Iwaszkiewicz m.in. w wierszu *Premio Taormina* z tomu *Śpiewnik włoski* (1974), w którym jego główna bohaterka, Anna Achmatowa, występuje jako Anna Andriejewna. By czytelnika nie dość dobrze zorientowanego w historii rosyjskiej poezji jeszcze bardziej dezorientować, Iwaszkiewicz – jako atrybut bohaterki – wprowadza „strusie pióro, które zawadziło o budę dorożki”. Tym samym zwodniczo sugeruje, że tłem historycznym utworu jest wiek XIX. Ale każdy, kto pamięta pierwszą linijkę wiersza Achmatowej *Spacer*, wie, że wersy Iwaszkiewicza stanowią nawiązanie do tego właśnie liryku. Poza tym cały wiersz Iwaszkiewicza, łącznie z tytułem, dotyczy przyznania Achmatowej w 1964 roku nagrody Etna-Taormina i podróży poetki na Sycylię, by tę nagrodę odebrać. Cały ten kamuflaż służy temu, by móc bezkarnie napisać: „co oni wiedzieli o ojczyźnie Anny / o chłodach Carskiego Sioła / o panichidach za samobójców / o więzieniach o kołach polarnych”. „Onymi” są w tym przypadku elity intelektualne Europy Zachodniej, fetujące rosyjską *poetessę*, lecz nie mające wyobrażenia o kręgach cierpienia i rozpacz, przez jakie przeszła autorka *Requiem*. Poetyka aluzji i używanie języka ezopowego znajdowały pełną akceptację u Pawła Hertza, który w liście

¹ Notatnik znajduje się w archiwum rękopiśmiennym Muzeum w Stawisku.

z 5 czerwca 1974 roku pisał do Iwaszkiewicza: „I ten wiersz o Achmatowej, tak jak ten wiersz o Mickiewiczu, mówią więcej o sprawie wspólnej nam wszystkim niż wiele deklamacji i oburzeń, i protestów. Może trzeba jakiejś większej mądrości, niż ją miewa inteligent czy intelektualista polski, żeby mieć świadomość, że w Polsce «korona jest cierniowa»”¹.

Wróćmy jeszcze na krótko do 24 grudnia 1954 roku; Iwaszkiewicz zapisał tego dnia w kalendarzu: „Wigilia u mnie w pokoju, prezenty, rozmowa”. Więcej informacji na ten temat można znaleźć w diariuszu pisarza: „Urządziliśmy sobie wigilię w moim prywatnym pokoju (z kawiozem i szampanem), obdarowaliśmy się prezentami i składaliśmy sobie życzenia. Siedzieliśmy do trzeciej w nocy. Zupełnie było jak wigilia sybiraków u Malczewskiego”². W wigilii uczestniczyli Henryk Markiewicz, Tadeusz Drewnowski, rosyjska literaturoznawczyni o polskich korzeniach Jadwiga Staniukowicz, Wiktor Woroszyński, który wtedy studiował w Instytucie Literackim im. Gorkiego w Moskwie, i Bohdan Czeszko, uczestniczący w zjeździe jako korespondent „Trybuny Ludu”.

W dzienniku, 27 grudnia 1954 roku, Iwaszkiewicz zanotował:

Wczoraj ten wielki obiad na Kremlu. Odczuwałem w bardzo przyjemny sposób wszystkimi porami ciała *le succès*. Zupełnie jak w Amsterdamie – to się czuje od razu, jeżeli się zrobiło dobre wrażenie. Z mojego przemówienia (powiedzmy to w największej dyskrecji, nie piszę tych notek do druku) jestem prawdziwie dumny. Postawiłem się jak Wielopolski – i zdobyłem szacunek. Ja jeden przemawiałem jak członek dużego, prawdziwego narodu, który prowadzi w tej chwili taką a nie inną politykę, ale jest oddzielnym, osobnym narodem. Dlatego tak mnie uderzyło to, co powiedział mi [Michaił] Kotow: „wy *dzierżali takuju samobytnuju rzecz*”³. Właśnie, samobytną: sroce spod ogona nie wypadliśmy⁴.

Iwaszkiewicz ponownie odwiedzi Moskwę 17 maja 1959 roku jako przewodniczący polskiej delegacji zaproszonej na III Zjazd Pisarzy ZSRR. „W sprawozdaniu konsultanta Komisji Zagranicznej Związku Pisarzy Radzieckich Wiktora Borisowa na temat polskiej delegacji znalazły odbicie pewne interesujące fakty, charakteryzujące zwłaszcza Iwaszkiewicza oraz jego stosunek do wydarzeń towarzyszących zjazdowi. Iwaszkiewicz powitał uczestników zjazdu po polsku, a przemówienie wygłosił w języku rosyjskim. Tak było na porannym posiedzeniu 19 maja. Tego samego dnia pisarz zawizował tekst swojego wystąpienia na potrzeby publikacji w «Litieraturnoj Gazietie». «Iwaszkiewicz – pisze Borisow – był niezmiernie zdziwiony i jawnie niezadowolony, kiedy się okazało, że z tekstu jego wystąpienia, opublikowanego w ‘Litieraturnoj Gazietie’, wykreślono słowa

¹ Paweł Hertz, Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie, *Korespondencja*, t. II. 1949–1980, oprac. i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy, Warszawa 2015, s. 108.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, dz. cyt., s. 445.

³ Z pańskiego przemówienia przebijała taka niezależność.

⁴ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, dz. cyt., s. 445.

o 'niezależności myśli twórczej'. Powiedział, że 'przyzwoici ludzie tak nie postępują' i oznajmił, że nazajutrz opublikuje pełny tekst swojego wystąpienia w 'Życiu Warszawy'». Stało się tak, jak zapowiedział: tekst wystąpienia został wydrukowany w «Życiu Warszawy» 20 maja 1959 roku¹.

Z przedstawionego materiału można wysnuć rozmaite wnioski, ale jeden narzuca się nieodparcie: ważną rolę w kształtowaniu poglądów Iwaszkiewicza na temat powojennej Rosji odgrywały osobiste kontakty pisarza z Rosjanami – pierwszoplanowymi postaciami zarówno radzieckiej sceny politycznej, jak i literackiej, z redaktorami czasopism i wydawnictw. Toteż Rosja nie stanowiła dla autora *Petersburga* kwestii czysto teoretycznej, przeciwnie, była dlań polem działania, przestrzenią ekspansji artystycznej, areną reprezentowania interesów polskiej kultury, obszarem prowadzenia własnej polityki, wzorowanej częściowo na strategii Aleksandra Wielopolskiego. Była Rosja dla Iwaszkiewicza „przeklętym problemem”, ale nie spoglądaniem w okno w czerwonym fezie na głowie i w głębokiej zadumie – jak to sobie zawsze i na własną miarę wyobrażał Leopold Tyrmand.

I jeszcze jedno, już na zakończenie wątku rosyjskiego: Iwaszkiewicz nigdy nie wychwalał komunizmu na łamach „Prawdy Komsomolskiej”, Tyrmand tak; ale i nigdy nie został aresztowany przez NKWD i osadzony na Łukiszkach za działalność w polskiej organizacji kontrrewolucyjnej, Tyrmand tak. Toteż musi dziwić u Tyrmanda nieumiejętność dostrzeżenia w cudzym życiu splotu okoliczności, który utrudnia jednoznaczne ferowanie wyroków.

„Pod koniec [lat] 50-tych – kontynuuje swoją skargę na Iwaszkiewicza Tyrmand – działał w Warszawie salon literacki pani Ireny Krzywickiej: zbierali się w nim ludzie, którym najlepiej się w Polsce powodziło, by narzekać na swój zły los, pieszczochy reżymu kapryszące na reżym i na bezsens (!) istnienia, dyplomaci, którzy spędzili piękne życie poza Ludową za jej dziadźki², krytycy literatury o talentach akrobatów, dziennikarze zmywający wieczornymi wyzwiskami na KC ślady porannych pocałunków ze swych ust, filmowcy zbijający miliony na filmach, na które nikt nie chodzi, satyrycy i graficy, którzy zbudowali swe fortuny na zwyrodnieniu kułaka i marszałka Tito, a teraz poprawiają sobie wzajemnie makijaż «na dziewicę». Nie przeczę, przewijali się tam także ludzie zacni i zabawni, ale dla mnie Jarosław Iwaszkiewicz był symbolem tego salonu i ja nigdy nie skorzystałem z zaproszenia”³.

Irena Krzywicka zaczęła urządzać przyjęcia w mieszkaniu przy ulicy Langiewicza na jesieni roku 1955. Powodem nie był snobizm towarzyski, lecz staranie, by jej chory syn Andrzej, niemogący wychodzić z domu, miał stały kontakt z ważnymi postaciami życia literackiego i naukowego. „Z góry przygotowywała dyżurne tematy – pisze Agata Tuszyńska – by w razie potrzeby podsunąć je gościom. Staranną kompozycję towarzyskiego spotkania traktowała jak sztukę i z upodobaniem ją uprawiała. Ważne, by goście byli sobie ciekawi. [...]

¹ Tamara Agapkina, *Rosyjskie kontakty Jarosława Iwaszkiewicza w latach 1945–1959...*, dz. cyt.

² Dziadźki (gwara warszawska) – pieniądze.

³ Leopold Tyrmand, *Porachunki osobiste*, dz. cyt.

Przychodzono do niej chętnie, była częścią warszawskiej elity intelektualnej, jej dom firmowały tradycje sięgające jeszcze Ludwika Krzywickiego”¹. Takie spotkania nie robią się same, toteż Krzywicka tak dobierała gości, by wśród nich byli ludzie interesujący, znani, nie zapominała także o ładnych paniach. Bywanie u niej w każdy czwartek stanowiło nobilitację. Kto jej dostąpił? Między innymi Kazimierz i Marian Brandysowie, Tadeusz Breza, Stanisław Dygat, filozof Jan Garewicz, Adam Hanuszkiewicz, Gustaw Holoubek, Andrzej Łapicki, Artur Międzyrzecki i Julia Hartwig, Leszek Kołakowski, Sławomir Mrozek, Erwin Axer, Maria Dąbrowska z Anną Kowalską (rzadko), Wanda Telakowska, fizycy Jerzy Plebański, Wojciech Królikowski, Józef Werle.

A Iwaszkiewicz? Leszek Kołakowski nie pamięta, żeby przychodził na te zebrania autor *Brzeziny*. Z kolei Andrzej Krzywicki utrzymuje, iż Iwaszkiewicz bywał rzadko, co potwierdza Joanna Kulmowa w książce *Ciutanie siebie*. Jej zdaniem Iwaszkiewicz „nie mógł przeboleć fajfów u Krzywickiej, bo jakże mu było przychodzić na nie, skoro królował tam «wuj Antoni», więc Prezes długo obmyślał antidotum, aż wyznaczył u siebie konkurencyjne przyjęcia w środy, a może to były wtorki. Oczywiście, o ile u Krzywickiej zbierali się twórcy niezbyt oddani władzy, o tyle u pana Jarosława luminarze wprost przeciwni i nawet, powiedziałabym, przedziwni, co nie przysparzało mu sławy i chwały”². Rzeczywiście, niemal zawsze na przyjęciu u Krzywickiej był Antoni Słonimski, który brylował dzięki błyskotliwej inteligencji i ciętymu językowi. Prawdą jest także, że Iwaszkiewicz trudno znosił przebywanie w jednym pomieszczeniu ze Słonimskim – historia ich przyjaźni zmieniającej się we wrogość zasługuje na osobny tekst. Toteż u Krzywickiej Iwaszkiewicz bywał okazjonalnie. Opierając się na jego kalendarzykach, można ustalić, że po raz pierwszy był na czwartku u Krzywickiej 3 listopada 1955 roku o godzinie 18.00. Potem dopiero 11 marca 1960 roku o godzinie 18.00 i 29 kwietnia, też o 18.00. Prawdą jest również, iż gospodarz Stawiska zaczął urządzać konkurencyjne przyjęcia, ale nie w środy czy wtorki, lecz w poniedziałki – i nie w Stawisku, lecz w dwupokojowym mieszkaniu w alei Szucha 16. Pierwsze z nich odbyło się 2 stycznia 1956 roku i gościli na nim: Jan i Irena Parandowscy, Juliusz Żuławski z żoną, Jerzy i Anna Lisowscy, Paweł Hertz, Wanda Telakowska, mecenas sztuki i dawny przyjaciel Karola Szymanowskiego – Stefan Spiess, Irena Krzywicka, poeta Roman Kołoniecki³. Do tego spotkania nawiąże Iwaszkiewicz w dzienniku 7 stycznia 1956 roku, napomykając o Irenie Parandowskiej, „która twierdziła na naszym poniedziałku, że napisała niezwykłą prozę, a to jest czysta grafomania”⁴.

Tydzień później na aleję Szucha przybyli: Paweł Hertz, Zygmunt Mycielski, Elżbieta Kolankowska, Józef Zakrzewski, Wanda Wertenstein, Jan Krecmar. Z dziennika Zygmunta Mycielskiego wiemy, że rozmawiano m.in. o próbie

¹ Agata Tuszyńska, *Krzywicka. Długie życie gorszycielki*, Kraków 2011, s. 296.

² Cyt. za: Agata Tuszyńska, *Krzywicka. Długie życie gorszycielki*, s. 314–315.

³ Kolejność nazwisk zgodna z kalendarzowym zapisem Iwaszkiewicza.

⁴ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, oprac. i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy, Radosław Romaniuk, wstęp Andrzej Gronczewski, Warszawa 2010, s. 36.

samobójczej Marka Hłaski: „Jarosław raczej niechętnie o tym mówił – jak zwykle o sprawach nieprzyjemnych. Jednakże z dużą sympatią dla Hłaski i z uznaniem dla jego dużego talentu pisarskiego”¹. Rozmawiano poza tym o artykule Jerzego Putramenta *Dwa łyki Ameryki. Coś z Miłosza*, ogłoszonym na łamach „Przeglądu Kulturalnego” (1956, nr 1): „O Putramencie Jarosław też mało mówił, «zachnął się» tylko ogólnikowo na jego artykuł o Miłoszu, [...] nie bronił Putramenta”².

Na trzecim przyjęciu byli Janina Słonimska (bez Antoniego), Krzywicka, Parandowscy, Paweł Hertz, Jerzy Zawieyski, Wanda Telakowska. Skład gości potwierdza w dzienniku Jerzy Zawieyski, który wcześniej, 12 stycznia, odwiedził Iwaszkiewicza w redakcji „Twórczości”, by mu wręczyć dopiero co napisaną sztukę *Wysoka ściana*. W dzienniku pod datą 16 stycznia 1956 roku zanotował: „Przed chwilą wróciłem od Jarosława Iwaszkiewicza z jego *jour fixe*’u. [...] Mieszkanie przy alei Szucha 16 – urocze, ciche, prześlicznie urządzone drobiazgami przywiezionymi ze świata. Oprócz pałacu w Stawisku to mieszkanie! Czułem się jak proletariusz, jak lump, ciemna masa czy coś podobnego. Nie mam własnej łazienki, nie mam telefonu [...]. Miałem wrażenie, że należę do innej klasy, do innej cywilizacji, zapóźnionej w rozwoju. Poszedłem tam, by się dowiedzieć czegokolwiek o swej sztuce. Jarosław rozmawiał ze mną w drugim pokoju przez chwilę i powiedział, że sztuka jest zimna i martwa, wymyślona, intelektualna, bez życia. Ale że jest świetnie napisana, po mistrzowsku, wszystko tam jak w zegarku. Ma wiele drobnych zastrzeżeń, które można usunąć. Będzie popierał dramat, aby był grany. Wyczułem, że nie będzie popierał, wyczułem, że go to nic nie obchodzi, raczej nie podoba mu się, a mówi ot tak, by mi nie sprawiać zbyt wielkiej przykrości. Przełknąłem tę gorzką pigułkę i prędko pożegnałem się z nim. [...] Zrobiłem sobie herbatę, ukroiłem czarnego chleba i zjadłem z kawałkami suchej kiełbasy. Masła nie było. Jadłem przez łzy, dosłownie!”³.

23 stycznia Iwaszkiewiczowie zaprosili Wincentego Iwaszkiewicza⁴, Pawła Hertza, Adama Hanuszkiewicza, Henryka Komorowskiego z żoną, Andrzeja Biernackiego.

Lista gości piątego poniedziałku wygląda w kalendarzu następująco: architekt Stanisław Dziewulski z żoną Zofią, archeolog prof. Kazimierz Michałowski, książę Krzysztof Radziwiłł z żoną Zofią, Jerzy i Anna Lisowscy, córka Iwaszkiewiczów Teresa z mężem Eugeniuszem Markowskim, malarzem i dyplomata, dyrektor Muzeum Literatury Adam Mauersberger, Julian Strykowski, historyk sztuki Jerzy Zanoziński, tłumacz literatury włoskiej Ryszard Landau.

6 lutego Iwaszkiewiczów odwiedzili: Jan Kreczmar z żoną, Jan Parandowski, Irena Krzywicka, Wanda Telakowska, Paweł Hertz, Krzysztof Radziwiłł, redaktorka Czytelnika Helena Wilczkova.

¹ Zygmunt Mycielski, *Dziennik 1950–1959*, Warszawa 1999, s. 173.

² Tamże.

³ Jerzy Zawieyski, *Dzienniki*, t. 1, Warszawa 2011, s. 188–189.

⁴ Wincenty Iwaszkiewicz (1890–1963) – stryjeczny brat Jarosława Iwaszkiewicza.

Ostatni, siódmy poniedziałek wypadł w sześćdziesiąte drugie urodziny Iwaszkiewicza, 20 lutego. Pośród zaproszonych znaleźli się: tłumacz z języka niemieckiego i członek redakcji „Twórczości” Roman Karst, Elżbieta Kolankowska z mężem, Kreczmarowie, Wanda Telakowska, Irena Parandowska, aktorka Janina Romanówna, Andrzej Biernacki, Ignacy Gogolewski z żoną, Zygmunt Mycielski, Paweł Hertz, córka Teresa z mężem, Julian Strykowski, Jerzy i Anna Lisowscy, Stanisław Krzywoszewski (syn Stefana, dramaturga, mąż Ireny Lilpópowny), Marek Hłasko, któremu Iwaszkiewicz wydrukuję w „Twórczości” półtora miesiąca później *Pętlę*, Maryla Tyszkiewiczówna, Juliusz Żuławski, prezes Czytelnika Ludwik Kasiński z żoną Janiną.

Nic prostszego niż rzucić na papier beztroskie, nieobciążone wiedzą słowa: „O ile u Krzywickiej zbierali się twórcy niezbyt oddani władzy, o tyle u pana Jarosława luminarze wprost przeciwni i nawet, powiedziałabym, przedziwni, co nie przysparzało mu sławy i chwały”. Czego przysparza ta wypowiedź Kulmowej? Jeśli nawet zastosujemy użyte przez nią kryterium polityczne, to jedyną osobą bywającą w Stawisku, a niepasującą do grona gości Krzywickiej jest Elżbieta Kolankowska – działaczka Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, któremu przewodniczył Iwaszkiewicz. Reszta uczestników stawiskich poniedziałków stanowi prześwieatne zgromadzenie, częściowo nawet pokrywające się z bywalcami salonu przy ulicy Langiewicza.

Jak zatem traktować zakończenie akapitu, w którym Tyrmand charakteryzuje salon Krzywickiej? Przypomnę ten fragment: „Dla mnie Jarosław Iwaszkiewicz był symbolem tego salonu i ja nigdy nie skorzystałem z zaproszenia”. Gdyby szukać symbolu salonu Ireny Krzywickiej, to w opinii wielu jego gości był nim Antoni Słonimski, co potwierdza także Andrzej Krzywicki: „Główną atrakcją «salonu» i stałym gościem był Antoni Słonimski”¹. Paradnie też wygląda deklaracja Tyrmanda o nieskorzystaniu z zaproszenia. „Jak już pisałem – głos oddaję ponownie Krzywickiemu – [Tyrmand] nie był przez środowisko traktowany poważnie, matce nie przyszłoby nawet do głowy, żeby go zaprosić. Bardzo starannie dobierała swoich gości. To naprawdę była warszawska elita intelektualna”². Potwierdza tę opinię Mira Michałowska: „Tyrmand nie pasował do nich. Nie był zapraszany [...]. Trudno określić, jakimi kierowano się zasadami, ale to było jasne. Krzywicka dbała o utrzymanie pewnego intelektualnego diapazonu”³.

Ostatni zarzut wysunięty w stronę Iwaszkiewicza w *Porachunkach osobistych* dotyczy niesłowności autora *Panien z Wilka*. Tyrmand opisuje swoją wizytę w redakcji „Twórczości” i próbę nakłonienia redaktora, by ten pomógł w dopuszczeniu do druku powieści *Filip*, czemu sprzeciwiała się Helena Zatorska, dyrektorka Centralnego Urzędu Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki. Iwaszkiewicz obiecał interweniować nazajutrz u Wincentego Kraśki – kierownika Wydziału Kultury KC PZPR. Z kalendarzyka Iwaszkiewicza na rok 1960 wynika, że u Kraśki był 19 lipca, czyli z Tyrmandem rozmawiał 18 lipca. W tych dniach

¹ Andrzej Krzywicki, *Diabelski młyn*, dz. cyt., s. 92.

² Tamże.

³ Agata Tuszyńska, *Krzywicka. Długie życie gorszycielki*, dz. cyt., s. 303.

Iwaszkiewicz czuł się fatalnie. „Bardzo zły stan nerwów – notował w dzienniku 22 lipca 1960 roku – ale to bardzo zły. Chwilami zupełna prostracja. Nie chce się niczego. Nie piszę zupełnie. Bardzo źle sypiam. [...] Żadne moje życzenie nie jest spełnione. Szofer nie chce mnie wozić, kucharka nie chce mi gotować, żona nie chce słuchać”¹. Kilka dni później Tyrmand usłyszał od Iwaszkiewicza, że Kraśko stwierdził, iż powieść nigdy się nie ukaze, bo jest słaba, cyniczna i niemoralna. Traf chciał, że Tyrmand parę dni potem był u Kraśki, który zaprzeczył, że Iwaszkiewicz rozmawiał z nim o *Filipie*. Trudno rzecz jasna polemizować z taką wersją zdarzeń, należałoby spytać Kraśki, jak było, a to jest od roku 1976 niemożliwe. Zakładając natomiast prawdomówność Tyrmanda, pozostaje pytanie, czy czyjaś niesłowność w relacjach prywatnych lub zapomnienie to temat do roztrząsania na łamach paryskiej „Kultury”? I czy Tyrmand nie widział niczego niewłaściwego w prywatnym spotkaniu ze znienawidzonym komunistycznym aparaczką, sowieciarzem Iwaszkiewiczem, żeby ten mu załatwił wydanie książki? Ostatecznie powieść wyszła drukiem rok później.

Perfidia personalnych ataków Tyrmanda polega na tym, że nikt z atakowanych nie mógł się bronić, trudno było bowiem na łamach krajowej prasy polemizować z artykułem ogłoszonym w prasie emigracyjnej, byłaby to bowiem swoista reklama „wrogiej” prasy, do czego cenzura by nie dopuściła. Tym bardziej nie-realna była polemika na stronach periodyku Giedroycia. Pozostawało prywatne zżymanie się na Tyrmanda. Przyznaje to sam Tyrmand, który dwa miesiące później, w majowej „Kulturze” opublikował tekst *Z notatnika dyletanta*, w którym osobny rozdział poświęcił Iwaszkiewiczowi. „Po moim otwartym artykule w «Kulturze» – pisze Tyrmand – p. prezes Iwaszkiewicz – jak słyszałem – bluzgnął na mnie prywatnie publicznym słowem. Oczywiście, nie miałbym nic przeciwko temu, aby powtórzył w druku krytykę mojej osoby, boję się jednak, że nie może on sobie na to pozwolić”². Obawa ta była przedwczesna, bo jeśli nie Iwaszkiewicz, to kto inny może sobie pozwolić na krytykę osoby Tyrmanda.

„W dość znanym i uwielbianym przez PAX-owską prasę felietonie o *Złym* – kontynuuje wywód Tyrmand – Iwaszkiewicz natrząsał się z moich parafian-skich i niemrawych wyobrażeń. Na przykład: wyrzucał mi, że ktoś w Delikatesach, patrząc na puszkę sardynek, kojarzy je z epikureizmem; lub, że młoda dziewczyna siedząc w Kameralnej upaja się nastrojem nocnego lokalu. «Ależ mi epikureizm...», przytaczam z pamięci szyderstwa Iwaszkiewicza lub ich jednoznaczny sens, «...puszka sardynek... Ponura, cuchnąca dymem i wódką knajpa jest dla Tyrmanda czarowną grota»”³. Iwaszkiewicz jako autor uwielbiany przez PAX-owską prasę – wdzięczni bylibyśmy za przykład, bo to tyle, co powiedzieć w tamtym czasie, że jest się uwielbianym przez prasę o profilu nacjonalistycznym i antysemickim, odwołującą się do przedwojennej ONR-Falangi. Przypisanie Iwaszkiewiczowi takich powiązań graniczy z absurdem albo z obsesyjnie złą wolą. A napisał to Tyrmand, który w 1964 roku opublikował w warszawskim

¹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956–1963*, dz. cyt., s. 404.

² Leopold Tyrmand, *Z notatnika dyletanta*, „Kultura” 1967, nr 5.

³ Tamże.

tygodniku „Kultura” fragment *Życia towarzyskiego i uczuciowego*, zatytułowany *Salon pani Stoll*. Warszawską „Kulturę” bojkotowała wówczas duża część liberalnego środowiska literackiego, uważając ją za organ nacjonalistycznego skrzydła partii i moczarowskich „partyzantów”. Wkrótce potem Tyrmand „otrzymał paszport zagraniczny; po rozmowie z nim decyzję zezwolenia na wyjazd podjął pułkownik Marian Janic, dyrektor gabinetu ministra spraw wewnętrznych, towarzysz partyzanckich wędrówek Mieczysława Moczara, uważany za jego prawą rękę”¹.

Teraz sprawdźmy, jak Iwaszkiewicz przedstawił w felietonie delikatesowy epikureizm: „Nawet w Delikatesach widzi [Tyrmand] «całkiem dostępny epikureizm». Ani taki dostępny, ani epikureizm”². I nocny lokal: „Któż z bywalców Bristolu czy Rarytasu pozna w czarodziejskich pałacach, odmalowanych przez autora *Złego*, nasze bardzo ponure knajpy, zimne, pustawe, w których bardzo źle i niechętnie żywią człowieka?”³. U Iwaszkiewicza to nie jest zarzut, to kontynuacja dwu wcześniejszych zdań: „Niektórzy zachwycają się «prawdziwym» obrazem Warszawy, podanym przez Tyrmanda. Obraz ten jednak jest również «heroizowany»” – tak jak heroizowani są – zdaniem Iwaszkiewicza – przestępcy w powieści Tyrmanda, którzy trochę przypominają olimpijskich bogów. Myśl Iwaszkiewicza była zatem taka: zarówno postacie literackie w kryminale Tyrmanda, jak i Warszawa są odrealnione, ubajkowane, zheroizowane, co samo w sobie nie jest niczym złym, niewłaściwe jest traktowanie *Złego* jako powieści realistycznej, oddającej prawdziwe życie miasta i ludzi. Iwaszkiewicz nie krytykuje Tyrmanda i jego powieści, krytykuje błędne opinie recenzentów *Złego*.

Tyrmand zaś szarżuje:

Wówczas, czytając te słowa [Iwaszkiewicza], pochyliłem głowę w pohańbieniu, bo – co tu ukrywać – wypadłem jak frajer, naiwniak i prowincjonalny żółtodziób wobec pana prezesowych racji. Ale też i sobie pomyślałem, jak wiele mnie od Iwaszkiewicza dzieli, mimo że w jednym mieście mieszkamy i jednym językiem mówimy. W 1954, kiedy pisałem *Złego*, Iwaszkiewicz reprezentował nas za nasze pieniądze, znój i pot na kongresach pokoju, pilnie bankietował przy jesiotrach i bielegach w Sztokholmie i na Krymie, nic więc dziwnego, że sardynki to była dla niego trawa. Dla mnie jednak i dla przygniatącej większości narodu polskiego były one czystym wcieleniem hedonizmu [...]. Iwaszkiewiczowi specjalne diety służbowe umożliwiały w tym czasie czarowne noce w Boeuf sur le Toit, nic więc dziwnego, że Kameralna zalatywała mu niemiłą wonią, ale nam, którym sala tańca K.S. Kolejarz na Wale Miedzeszyńskim zastępowała Monte Carlo, Kameralna miała podówczas prawo służyć za Copacabanę⁴.

¹ Henryk Dasko, *Wstęp* [w:] Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, dz. cyt., s. 18.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Trędowata naszych czasów*, dz. cyt.

³ Tamże.

⁴ Leopold Tyrmand, *Z notatnika dyletanta*, dz. cyt.

A co apologeta warszawskich knajp z połowy lat pięćdziesiątych XX wieku pisał o nich w dzienniku? 4 lutego 1954 roku Tyrmand opisuje wizytę w nowo otwartej kawiarni na MDM-ie; i choć minął zaledwie tydzień od otwarcia,

już schody są popękane, śliczne poręcze pooblupywane, podłogi pokrywa warstwa powierzchownie sprzątniętego błota, na marmurowych kolumnach widnieją poprzyklejane obwieszczenia z ordynarnego papieru pisane ręcznie i informujące o tym, że nie należy pluć na podłogę lub należy oddawać płaszcze do szatni. Reklama zewnętrzna jest zrobiona zastępczo ze zmiętej papieroplastyki i tak trwa, wszystko razem tonie w brudnym świetle źle dobranych żarówek, sprawia wrażenie zapuszczenia, niechlujstwa, trzeciorzędności, któremu nie mogą w żaden sposób zapobiec twórczy wysiłek architekta i dostatek wyposażenia. Takiej właśnie aury wymaga komunistyczny styl życia, toteż zawsze wstrząsa mną anomalia tkwiąca w komunistycznym nuworyszowskim sadzeniu się na przepych, który potem, własnymi rękami, ściąga się w gnój¹.

Te specjalne diety służbowe czasem nie wystarczały Iwaszkiewiczowi na znaczki pocztowe, na Krymie Iwaszkiewicz nigdy po wojnie nie był. A czarowne noce w Boeuf sur le toit? To nazwa założonego w Paryżu w 1922 roku kabaretu, cieszącego się w dwudziestoleciu międzywojennym dużą popularnością wśród kosmopolitycznej elity artystycznej; to także jedno z ulubionych miejsc spotkań gejów – i zapewne do tego czyni aluzję Tyrmand, pisząc o czarownych nocach. Czy Iwaszkiewicz przekroczył kiedykolwiek progi Le Boeuf sur le toit? Nic o tym nie pisze ani w dzienniku, ani w notesach, ani w znanych mi listach, co oczywiście jeszcze nie świadczy, że nigdy tam nie był, ale też poważnie zmniejsza prawdopodobieństwo, że był.

„Dodał jeszcze Iwaszkiewicz – nie przerywa napaści Tyrmand – że nigdy nie widział w kolejce EKD scen opisanych przeze mnie w innych pociągach podmiejskich”². Najwyraźniej Tyrmand czytał niedostępny dla innych wariant felietonu Iwaszkiewicza, ponieważ w tym opublikowanym na łamach „Życia Warszawy” nie ma nic o kolejce EKD. Jest o niej za to w opowiadaniu *Ucieczka Felka Okonia* i jest w tej Iwaszkiewiczowskiej kolejce EKD chuligan jakby wyjęty z powieści Tyrmanda, tyle że *Ucieczka Felka Okonia* została napisana w 1953 roku, dwa lata przed *Złym*. „Za dobrych czasów socrealizmu – dopowiada Tyrmand – Iwaszkiewicz napisał nowelę pt. *Ucieczka Felka Okonia*, o której jakoś głucho w modnych skorowidzach jego dorobku. Parał się w niej twórczo z zagadnieniem chuligaństwa i zgodnie z obowiązującym kanonem doszedł do wniosku, że przestępczość wśród młodzieży jest owocem połączonych wysiłków agentów imperializmu, kulaka i idealistycznego światopoglądu”³. Nieprawda. Felek Okoń pcha nożem szwagra podczas kłótni rodzinnej o mieszkanie, na agentów imperializmu i na żonę bauera (kulaka?) natyka się potem, podczas uciecz-

¹ Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954*, dz. cyt., s. 168–169.

² Leopold Tyrmand, *Z notatnika dyletanta*, dz. cyt.

³ Tamże.

ki. Przestępstwo – nie przestępczość, Iwaszkiewicz nigdzie nie uogólnia tego zjawiska – jest w opowiadaniu splotem rozmaitych okoliczności. Owszem, teza utworu jest zgodna z ówczesną parciającą ideologią: w socjalistycznej Polsce jest lepiej niż w kapitalistycznych Niemczech, ale teza ta nie jest tak prymitywnie podana, jak sugeruje to Tyrmand. Utwór stanowi nie tyle uległość wobec doktryny socrealistycznej, ile próbę podporządkowania jej sobie, próbę upchania młodego życia w wąskie ramy określonej estetyki. Częściowo próba się udała: sceny miłosne z udziałem tytułowego bohatera i żony starego Niemca nie ustępują pokrewnym im Iwaszkiewiczowskim obrazom. Poza tym – co rzadkie u autora *Straconej nocy* – sceny te mogłyby nosić wspólny tytuł: *Wykorzystana noc*. Ażeby jeszcze bardziej zmącić pełen samozadowolenia ton Tyrmanda, dodam, że schemat fabularny, który nam wszystkim wydaje się tak bardzo podległy postulatowi prozy socrealistycznej, Iwaszkiewicz zaczerpnął z życia: historię młodego robotnika, który uciekł do Berlina, usłyszał od dziennikarza Edmunda Osmańczyka, jemu zaś opowiedzieli ją pracownicy ambasady polskiej w Berlinie.

„Zapamiętałem z niej scenkę – kontynuuje Tyrmand krytykę noweli Iwaszkiewicza – gdy łajdacki prywaciarz-oberżysta rozpija Felka, nieszczęsne dziecko ludu na manowcach, zaś Felek, w którym drzemie świadomość klasowa, klnie zawiesić na inicjatywę prywatną, bo pojmuję, że karczmarz nie tylko go znieważa, ale i wyzyskuje, licząc za wódkę podwójnie drożej niż w podstawowych zakładach żywienia”¹. Zmieścić tyle przeinaczeń w jednym zdaniu to nie lada sztuka. Zobaczmy, jak jest naprawdę: „W knajpie było bardzo jasno – powiada narrator, a nie Felek – długie, jarzące żarówki oświetlały beznadziejny brud stolików i podłogi. Knajpa była ostatnią «inicjatywą prywatną» w tej dzielnicy. Właściciel, czując zbliżający się dzień likwidacji, bez sumienia obdzierał klientów”². Potem Felek klnie, ale nie na inicjatywę prywatną, lecz na szwagra, a oberżysta nie wyzyskuje Felka, bo do Felka podchodzi niejaki Zbyszek, który stawia chłopakowi wódkę. Zmieniwszy gruntownie treść knajpianego epizodu, Tyrmand lituje się nad głupiutkim Iwaszkiewiczem, który nie wie tego, co wie w Polsce każde dziecko. I tak kończy rozdział poświęcony prezesowi ZLP.

W liście do Szymona Piotrowskiego z 1 sierpnia 1967 roku Iwaszkiewicz wraca do sprawy Tyrmanda: „Mówiono mi, że w dyskusji o Tyrmandzie w Wolnej Europie Józio i Kocik bardzo brali mnie w obronę i mówili o głębokim szacunku, jaki dla mnie żywią – to mi trochę popsuje karty w Białym Domu, ale jest dla mnie ogromną satysfakcją!”. Chodzi o audycję, którą Radio Wolna Europa nadało 26 czerwca 1967 roku z udziałem Józefa Czapskiego, Konstantego Jeleńskiego, Macieja Morawskiego i Jana Nowaka. Jej stenogram, zatytułowany „*Pora-chunki osobiste*” Leopolda Tyrmanda ukazał się w londyńskich „Wiadomościach” z 30 lipca 1967 roku i zapewne ten, kto poinformował pisarza o radiowej dyskusji, wiedzę o niej zaczerpnął z gazety Mieczysława Grydzewskiego. Wbrew temu, co sugeruje Iwaszkiewicz, Czapski i Jeleński nie stanęli w jego obronie. Rozmowa

¹ Tamże.

² Jarosław Iwaszkiewicz, *Ucieczka Felka Okonia* [w:] tenże, *Opowiadania*, t. IV, Warszawa 1980, s. 89.

dotyczyła całego artykułu Tyrmanda, cechowała ją wyważona próba zrozumienia racji Tyrmanda, prześledzenia genezy postawy autora *Złego*. Jan Nowak orzekł m.in.: „Człowiek, który postępuje zgodnie ze swoim sumieniem, nie może oczekiwać za to nagrody. Nie może za to żądać innego zadośćuczynienia jak wewnętrzne zadowolenie”. Za pośrednią obronę Iwaszkiewicza można wziąć taką oto uwagę Jeleńskiego: „Niestety, jest też inny aspekt sprawy. Po prostu nienawiść do wybitnych pisarzy. Powiedzmy sobie to szczerze. W tekście jest zawiść i nienawiść do wybitnych”. Zawtórował mu Morawski: „Na pewno są w literaturze polskiej pisarze głębsi od Tyrmanda, pisarze innego wymiaru, jak choćby Gombrowicz, Andrzejewski, Brandys, Rudnicki, Iwaszkiewicz, Miłosz. Ale na pewno w swojej kategorii Tyrmand jest mistrzem”. I to wszystko, co można by uznać za obronę Iwaszkiewicza przed Tyrmandem na antenie Radia Wolna Europa. Polemikę z tą rozmową zamieścił Tyrmand w „Kulturze” 1967, nr 9 pt. *Smutno mi Boże – kiedy na Zachodzie...*, która to polemika nie wniosła już niczego nowego do interesującego nas tematu. Sprawdziło się jednak w tym przypadku porzekadło, że co się odwlecze, to nie uciecze – i trzy lata później Jeleński wziął w obronę Iwaszkiewicza przed Tyrmandem.

Zaczął się od ogłoszenia w grudniowym numerze „Twórczości” z 1969 roku dwudziestu trzech listów Gombrowicza do Iwaszkiewicza, obejmujących lata 1947–1968. Listy wzbudziły ogromne zainteresowanie, ukazywały bowiem mniej znane oblicze autora *Ślubu*. Gombrowicz jawi się w nich jako pisarz dokładający wszelkich starań, by być wydawanym i czytany w kraju. Żeby to się ziściło, gotów jest nawet – jak pisze w liście z 16 czerwca 1949 roku – „napisać przedmowę wykazującą związki *Ferdydurke* z duchem przemian socjalnych w Polsce, a nawet z duchem «realizmu», gdyż antynomiczna struktura tego utworu zapewnia mu efektywność we wszystkich koniunkturach politycznych”. Dla emigracji takie deklaracje oznaczały zdradę ideałów. Duże wrażenie zrobił też na czytelnikach ten oto fragment listu Gombrowicza z 17 lipca 1968 roku:

À propos spraw literackich dość niemądra mnie spotkała przygoda, albowiem w moim ostatnim *Dzienniku* nie zamieszczono w passusie o Tyrmandzie samego zakończenia, w którym potępiał jego ataki na pisarzy krajowych, co zmienia sens całego ustępu. Pierwszy raz coś takiego mi się zdarza, głupio to wypadło, ale nie z mojej winy [...]. Kończę, rozpisałem się, a właściwie chciałem Ci tylko to o Tyrmandzie napisać, żebyś tego źle nie zrozumiał – ale tylko do Twojej wiadomości¹.

Atak znowu przypuścił dotknięty do żywego Tyrmand, ale nie na Gombrowicza, który potępił Tyrmanda i który za pośrednictwem Iwaszkiewicza flirtował z komunistami, lecz na Iwaszkiewicza, który ten flirt – z dzisiejszej perspektywy niewinny i bez znaczenia – ujawnił. Jak doszło do podłego postępu Iwaszkiewicza? Tyrmand wie wszystko:

¹ Witold Gombrowicz, *Walka o sławę. Korespondencja*, t. 1, układ, przedmowa i przypisy Jerzy Jarzębski, Kraków 1996, s. 174.

Pewnego poranka Iwaszkiewicz zapakował listy Gombrowicza do teczki, wszedł w służbową limuzynę i już niebawem pukał do odpowiednich drzwi. Za owymi drzwiami wysłuchano go z uwagą, czytano skrupulatnie, zamyślano się głęboko, popukano palcem wskazującym w rozsypane na biurku listy i – przypuszczalnie – powiedziano:

– Wiecie co, obywatelu Iwaszkiewicz, trzeba by tę sprawę właściwie przekonsultować z towarzyszami z bezpieczeństwa. Wiecie, jak jest, to są ludzie z głową, może coś doradzą, może coś dodadzą, a może ujmą? Sami rozumiecie, to są cienkie rzeczy, może trzeba będzie słoweczko wyrzucić, a może przerysować, a potem fotokopię ogłosić. Bez fachowców nie da rady. My tu się na tym nie znamy, ale dla Rakowieckiej to betka. Nie takie numery robili z biskupami za Stalina...

– Oczywiście, oczywiście – zapewne powiedział Iwaszkiewicz, tubalnie, kordialnie i przypuszczalnie. Prezesi zawsze tak mówią w komunizmie, więc niby dlaczego przypuszczać coś innego?¹.

Tyrmand zna także motywy podłego postępu Iwaszkiewicza:

We wczesnych latach 60. w Warszawie zaniósł mnie raz do redakcji „Twórczości” w celu odnalezienia pewnego człowieka, który przecież tam pracował. Na korytarzu spotkałem Iwaszkiewicza i ten na mój widok rzucił: – Aaaa, ulubieniec Gombrowicza. Było to powiedziane z czymś więcej niż z ironią, a odnosiło się do tekstu Gombrowicza (o *Złym*), który właśnie ukazał się w ówczesnie opublikowanym rozdziale *Dziennika*². Wtedy też zrozumiałem, że Iwaszkiewicz Gombrowicza nienawidzi, fakt zaś, że Gombrowicz wyraził się pochlebnie o takim śmieciu jak ja, dawał Iwaszkiewiczowi poczucie tryumfującej wyższości nad nami oboma, co go chwilowo usposabiało do nas przychylnie. Musiała to być nienawiść obsesyjna, zszczepiona z dręczącym podziwem i żrącą zazdrością³.

Nie mogę pozbyć się wrażenia, że Tyrmand projektuje na relację łączącą Iwaszkiewicza z Gombrowiczem własne emocje wobec Iwaszkiewicza: nieumiarkowaną niechęć, zapiekły żal, niesłabnącą pretensję – jakby w listopadzie 1951 roku zerwała z nim nie Maria, córka Iwaszkiewicza, lecz Kaliope, a do rzędu autorów literatury popularnej stracił go w 1956 roku nie autor *Sławy i chwały*, lecz Apollo. Zdaję sobie sprawę, że wpisanie Tyrmanda w porządek mitologiczno-symboliczny zanadto upraszcza zagadnienie, ale nie sądzę, by je zakłamywało. Niezaspokojona ambicja zostania pisarzem poważnym kazała Tyrmandowi szukać winnego tego niesprawiedliwego stanu rzeczy – i znalazł się taki, i można było na nim wyładowywać całą swoją złość.

¹ Leopold Tyrmand, *Przykrość*, „Wiadomości” 1970, nr 30 (26 lipca).

² O *Złym* Tyrmanda Gombrowicz napisał we fragmencie *Dziennika* opublikowanym w „Kulturze” 1958, nr 10.

³ Leopold Tyrmand, *Przykrość*, dz. cyt.

Tymczasem Iwaszkiewicz „nienawidzący” Gombrowicza pisał doń w liście z 2 lipca 1960 roku po lekturze *Pornografii*:

Przeczytałem ją jednym tchem, jak zawsze przejęty wszystkim, co piszesz. Myślę, że jest to bardzo dobre, mimo wszelkich dziwactw. Kompozycyjnie jeden błąd – Józio i jego morderstwo nie wychodzi, choć miało zaokrąglić kompozycję. Zdziwiające, jak pamiętasz polską wieś – wszystko, miedzę, ziemię, gliniastą ścianę z dołami na kartofle – i znakomicie odczułeś nastrój dworu w czasie okupacji. Jesteś naprawdę nadzwyczajny. I ta pornografia – bez jednej pornograficznej sceny! Jakiś oczyszczony Genet. Nie wiem, jakie będą reakcje innych – ja jak zawsze twój niewolnik. Fascynujesz mnie jak wąz ptaszka¹.

Na koniec dowiadujemy się z tekstu Tyrmanda, że Iwaszkiewicz to pisarz delegacyjny, bankietowy i nigdy nie udało mu się powiedzieć czegoś wstrząsającego lub odkrywczego. „Ukazywał mdłe ciepłko ufryzowanych estetyzmów”, a na Zachodzie nie istnieje, nikt o nim nie wie poza kilkoma pisarzami komunistycznymi z Włoch, Francji, Senegalu i Paragwaju.

Już 7 sierpnia 1970 roku Miłosz pisał do Giedroycia:

Jakieś polskie przekleństwo to brak formatu, gówniarstwo i pchlarstwo. Ten Tyrmand w „Wiadomościach” korzystający z okazji gombrowiczowskiej, żeby wyładować swoje urazy towarzyskie, te porachunki z Iwaszkiewiczem – i z Jeleńskim. Zapewne, Iwaszkiewicz jest świnią, tylko że tu jest dla mnie zasadnicza niestosowność, która polega na tym, że Tyrmand przemawia, jakby był równy Iwaszkiewiczowi. Nie jest. [...] Twój Tyrmand występuje jako stukacz, bo przez aluzje o „towarzyskości” przeziiera jeden z arcy polskich przedmiotów nienawiści (1. Żyd, 2. Pederasta – oczywiście Iwaszkiewicz, Gombrowicz, Jeleński to sztama pederastów, 3. Mason)².

17 sierpnia Giedroyc odpowiedział Miłoszowi, że z Tyrmandem skończył i nie czuje żadnej potrzeby, by do niego wracać.

Tego samego dnia, 17 sierpnia, Iwaszkiewicz dostał list od Kota Jeleńskiego, który pięć dni wcześniej napisał:

Nie wiem, czy doszedł do Twoich rąk obrzydliwy artykuł Tyrmanda w „Wiadomościach” z 26 VII. Byłem tak oburzony tym świństwem, że napisałem do „Wiadomości”, ale potem podarłem – uważam, że nie można po tym artykule odpowiadać Tyrmandowi. Najlepsze, że pod pretekstem obrony Gombrowicza pisze on, że z listów do Ciebie „wynurza się chłystek, konfident, donosiciel, pacholek na posyłki” itd. – Tak jakby „Gombrowicz z listów do Iwaszkiewicza” to nie był Gombrowicz... Na Ciebie atak jest niegodny³.

¹ Witold Gombrowicz, *Walka o sławę...*, dz. cyt., s. 168–169.

² Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1964–1972*, oprac. Marek Kornat, Warszawa 2011, s. 381–382.

³ Jarosław Iwaszkiewicz, Teresa Jeleńska, Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja*, oprac. i przypisami opatrzył Radosław Romaniuk, Warszawa 2008, s. 184.

A co na to wszystko Iwaszkiewicz? W dzienniku i w kalendarzyku w ogóle tego nie odnotował. W liście do Jeleńskiego z 17 sierpnia 1970 roku pisze, że świństwo Tyrmanda rozgrywa się niejako „na innej planecie”, bo na łamach prasy emigracyjnej, czyli poza Polską, i niewiele go to obchodzi, ma poważniejsze strapienia. W podobnym tonie napisał w liście do Gombrowicza z 23 lipca 1968 roku, komentując artykuł Tyrmanda *Porachunki osobiste*: emigracja przecenia wpływ publikacji zagranicznych na krajowe życie umysłowe i literackie. Kierując zaś uwagę na autora artykułu, Iwaszkiewicz puentuje:

No, Tyrmand to Tyrmand. Wiadomo, co to jest Tyrmand¹.

¹ Witold Gombrowicz, *Walka o sławę...*, dz. cyt., s. 175.